Ostrowski J. Poezje



POEZJE

Janusza Ostrowskiego

Detroit, Michigan, Rok 1934

Przedmowa

W KRÓLESTWIE SZTUKI, jak i w Królestwie Niebieskiem — jest mieszkania wiele... Bez przepychu, bez rozgłosu i bez szeptów uwielbienia wchodzi w nie oto ta skromna, wdzięku prostoty i szczerości pełna, swojską pięknością piękna, książka Janusza Ostrowskiego, długoletniego pracownika na ugorach dziennikarstwa polskiego w Ameryce, jednego z nowoczesnych "rybaków galilejskich"... Że w szarpiącej nerwy, do cna wyczerpującej pracy dziennikarskiej, tak często, niestety, niedocenianej, a tak niewymownie ze stanowiska społeczno-narodowego doniosłej, Autor nasz potrafił latami całemi, bez myśli o chlebie powszednim, zdobywać się na chwile oderwania się od hałasów codziennego życia, na kontemplację zjawisk, związanych z światem i ludźmi, na wysnuwanie z duszy swojej pasm różnorodnych uczuć i refleksyj, — już to samo przejmuje człowieka szczerym szacunkiem i rzetelnem uznaniem.

Uznanie to zaś wzrasta i szacunek nasz się pogłębia w miarę gdy przerzucamy stronice tej miłej i ujmującej książki. Uderza w niej bowiem przedewszystkiem wysoka kultura słowa i znaczna technika poetycka. Język polski pachnie tu i dyszy prostotą, mieni się barwami, od czasu do czasu prężnieje siłą, rozbłyska uśmiechem humoru, zawsze żywy, naturalny, a przytem nietylko biegnący wprost, jak strzała, do celu, ale i bardzo często naprawdę piękny.

Jako zaś wytwór, mniej lub więcej bezpośredni, daleko posuniętej odrębności psycho-społecznej naszego życia polskiego na Wychodźtwie, zbiór Poezyj J. Ostrowskiego posiada znaczną wartość socjologiczną. Odbiły się w nim, jak w czystej tafli jeziora, liczne właściwości naszej psychiki i umysłowości narodowej, nieustannie atakowanej przez siły i fale obcego środowiska. To też zdaje mi się, że zasadnicza doniosłość tej ładnej, a tak bezpretensjonalnej książki leży właśnie w fakcie, że jest ona wzruszającym dokumentem miłości i czci dla języka narodowego, z pietyzmem pielęgnowanego wśród obcego otoczenia; że jest wyrazem szczerego idealizmu nietylko ze strony samego Autora, ale i ze strony całego polskiego cechu dziennikarskiego.

Nie wątpię, że społeczeństwo polskie przyjmie to naręcze kwiatów serdecznie i z szczerem uznaniem.

TADEUSZ MITANA.

ZMROŻONE KWIATY

Zakwitły białem kwieciem w ogrodzie czereśnie.
Jak bukiet panny młodej, tak się drzewko mili,
Jakby je całe obsiadł rój białych motyli —
Lecz czemu zakwitnęły w tym roku tak wcześnie?

Mroźny wiatr, dmąc z północy, zerwał je brutalnie,
Zbrukane leżą teraz na rozmokłej ziemi,
A drzewo się pochyla gałązkami swemi,
Nad pobitą swą dziatwą rozpaczając żalnie.

Stoję pośród drzew nagich—kwiat ich z wiatrem leci
I smutno mi na duszy, żal za serce ściska,
Jakby zmarła istota duszy mojej bliska,
Jakby to poginęły moje własne dzieci.

Niebo skryte chmurami od końca do końca,
W gałęziach drzew ponuro wiatr zachodni wyje.
Lecz czuję, że wesele znów w sercu odżyje,
Gdy zaświeci choć jeden nam promyczek słońca.

Palmowa Niedziela

Pełniutka ludzi nawa świątnicowa —
Modli się cicho lud,
Chyli się kornie przed ołtarzem głowa...
Jak szmer spokojnych wód,
Tak płyną modłów w zachwyceniu słowa —
Szept tylko słyszysz warg.
Modli się naród — NIEDZIELA PALMOWA —
Lecz nie dosłyszysz skarg,
Bo dziś Hosanna tylko dozwolona —
Ustąpić musi ból.

Tryumfu chwila w pamięci święcona,
Gdy w miasto wjeżdżał Król...
Dzisiaj ksiądz święci gałązki wierzbiny.
Srebrzysty łozy pąk
Palmę zastąpił wśród polskiej krainy,
Wyrosły pośród łąk.
Święci ksiądz palmy z łozowego ziela,
Wiosenny dał je gaj,
Święto tryumfu — PALMOWA NIEDZIELA —
Polski ją święci kraj.

NOS I ŁYSINA

Uparła się raz mucha odpocząć na nosie
Tłustego jegomościa. Co ten ją odpędzi,
Mucha zaraz powraca. Poznajesz po głosie
Tłustego jegomościa, że go strasznie swędzi,
Ilekroć mała mucha dotknie go łapkami.
Macha ręką co chwila i kicha rozgłośnie—
Co machnie mucha szybko w powietrze odleci
Ale zaraz powraca i brzęcząc nieznośnie
Usiada znów na nosie, co się zdala świeci

Od potu i tłustości. Aż doprawdy dziwne
Dlaczego musze nos ten tak przypadł do smaku?
Widocznie to stworzonko głupie i naiwne
Nos wzięło za pomidor rosnący na krzaku
I pragnąc go skosztować z uporem nań siada.
Tłuścioch rzuca się wściekle, aż pot z niego płynie,
Wreszcie nos kryje w dłoniach, a mucha nie rada,
Kiedy nos niedostępny siadła na łysinie.

ZAKWITŁY WRZOSY

Wrzesień, bo wrzosy ukwieciły wzgórze;
Jesienny to kwiat wrzos,
Obmyty chłodem kryształowych ros.
Wrzesień jesiennych smutków już przedmurze.
Siwizną prószy włos,
Rumieńców jeszcze nie usuwa z twarzy,
Wciąż jeszcze pełen kras—
Lecz w jesień spycha bezlitośnie nas,
Wrześniowy, późny czas.

Zakwitły wrzosy, klon już barwę zmienia,
Coraz się kurczy dzień.
Wrzesień to jak ta pierwsza cicha sień,
Wiodąca w gmachy wszego zapomnienia.
Wrzesień to jak ten cień,
Co zapowiedzią złego wydarzenia,
Które nie cofnie się,
Kiedy je wyrok losów na nas śle
W spóźnione, starcze dnie.

Wrzesień. Dojrzało wszystko dokoła
W owoc się zmienił kwiat.
Czas liczyć plony z już przeżytych lat,
Nim do zapłaty gospodarz powoła.
Bogactwem dyszy świat.
Wrzesień—kolorów bajkowych kaskada,
Przedzmierzchłych ogni błysk.
A potem pustka błądząca wśród rżysk,
Gdy po jesieni przyjdzie zima blada.

STOPIŁY SIĘ KLEJNOTY

Listopad. Szron przystroił w koronkowe szaty
Świat znękany depresją i stał się bogaty
Ten glob ziemski, przed chwilą nędzny, przygnębiony . . .
Jak bajkowe klejnoty te jesienne szrony.
Wstałem rano, nim jeszcze świt zaróżowiony
Rozjaśnił sine niebo hen od wschodniej strony.
Spojrzałem na mój ogród — biedne georginje,
Jeszcze wczoraj tak dumne, jak leśne boginie,
I jak one przecudne pyszniły się w klombie.
A dzisiaj — pokurczone i drżące na ziąbie,
Straciły dumę swoją, pochyliły głowy . . .
Spojrzałem na begonji kwiat blado różowy
I smutek targnął sercem — do szczętu zwarzone.
Sterczały strzępy kwiatów barwy pozbawione
W bladym świcie poranku, tuż przed wschodem słońca.
Schodziłem ten mój ogród od końca do końca
Płacząc strat poniesionych, sam wstydząc się siebie,
Lecz czułem się jak ojciec na dzieci pogrzebie,
Tak mi żal było kwiatów. — W świat od szronu biały
Powoli blaski zorzy od wschodu wsiąkały
I poczęły grać barwy na kryształkach szronu.
Najpierw srebro się lało hen od nieboskłonu,
Żeby rychło się zmienić w płynne złoto szczere.
A kiedy pierwszy promień przeszył atmosferę,
Lecąc z słońca źrenicy ze snu przebudzonej,
Rozbłysnął skarb klejnotów jak w bajce wyśnionej.
Otulone w puch szronów me zwarzone kwiaty
Ostatni raz w przecudne odziały się szaty,
Tkane srebrem i złotem, djamentami siane:
Leci więcej promieni; światłem rozedrgane
Zapalają na szronie wśród rannej godziny
Szmaragdy i topazy, szafiry, rubiny,
Tysiąc innych klejnotów znanych i nieznanych,
A wszystko na koronkach perłą wyszywanych,
Piękniejszych niż brabanckie . . . Stałem zachwycony
I odbiegł smutek z serca. Już ten kwiat stracony
Mniej mi się pięknym zdawał . . . Stałem dobrą chwilę,
Zaś kiedy słonko wzeszło, w większej świecąc sile,
Stopiły się klejnoty — zostały badyle . . .

GOŁĘBIE ZŁOTOPIÓRE

Gdym Cię miał stracić to tam w sercu na dnie
Roztlała iskra, co się kryła zdradnie
I naglem poznał, jak mi jesteś droga . . .
Z maleńkiej iskry rodzi się pożoga,
Płomyk, co ledwie dostrzegalny okiem,
Rozrasta w pożar, by kołem szerokiem
Wszystko dokoła trawić bezlitośnie.
Strasznym jest pożar, ale ja radośnie
Witałem serca mego rozpłonienie.
Bo mi ta miłość słoneczne promienie
Wniosła do życia, nakreśliła cele . . .
Żyliśmy z sobą obok przez lat wiele,
Blisko, a jednak tak jakoś daleko,
Jak przegrodzeni nieprzebytą rzeką
Mieszkają ludzie gdzieś na krańcach świata.
Ty byłaś wierną przez te wszystkie lata,
Gorącem sercem płacąc za me chłody,
Wierząc, że wreszcie doczekasz nagrody
Za tę wytrwałość, za swe poświęcenie,
Że przyjdzie szczęście i ja się odmienię . . .
A ja się śmiałem z tych rojeń naiwnych,
Bo mi się śniła przyszłość przygód dziwnych,
Tryumfy zwycięstw innych mi się śniły . . .
Dwa serca obok siebie razem biły,
Lecz rytm ich bicia nie był jednakowy,
Jak niejednako biją w bruk podkowy
Koni, co każdy ciągnie w inną stronę,
Choć do jednego woza zaprzężone
I jednym batem smagane są oba . . .
. . . .

Mijały lata — aż przyszła choroba
I gdy ujrzałem na łoża pościeli
Jak się twarzyczka twa śmiertelnie bieli,
Jak śmierć po Ciebie wyciągała ręce —
Najpierw struchlałem w niewymownej męce,
A potem gdzieś tam z dna serdecznej głębi,
Jak złotopiórych gromada gołębi
Wzleciała miłość, duszę wypełniła . . .
Tyś to poznała. Miłość zwyciężyła,
Nawet śmierć pierzchła mocy jej nierada.
A nam się życie jaśniej, szczęśniej składa.

PŁACZE NIEBO

Rozpłakało się niebo, nad ludzką dolą łka.
Opar się podniósł biały, podniosła biała mgła,
Przesiąknął nieba łzami od chłodu drżący bór,
Rozmokły beznadziejnie zczerniałe stoki gór,
Wstał dzionek jak trup blady, otulon w szatę z mgły
I idzie w przeznaczenie ponury, smutny, zły,
Jak dola nieszczęśliwych.

Łka niebo, deszczyk mży,
Świat senny, człowiek senny, lecz zmorą ciężkie sny,
Myśl ciężka, serca ciężkie, a niebo łka i łka . . .
Nad ludzką dolą płacze, rozpaczna ona, zła,
I zda się wyjścia niema. Przesiąknął deszczem świat,
Przemokłą główkę skłonił jesienny, późny kwiat,
Tuman mgieł białych powstał w przesiąkłych deszczem łąk,
A niebo płacze cierpień, serdecznych ludzkich mąk,
Chcąc koić smutki, spłókać chcąc łzami bólów ból . . .
Nabrzmiały od wilgoci rozmiękłe łona pól,
Że zda się świat utonie w serdecznych nieba łzach.
Dość żalu, łez tych nadto, na ziemię wionął strach —
Nie łez nam trza z błękitów, niech słońca niebo da,
Nie żalu nam potrzeba, niech tylko spokój trwa.
Niech niebo nie przeszkadza, dość karań, zemsty dość,
Niech błogosławi tylko, a zniknie z ziemi złość,
Nastanie lepsza dola, o której ludzkość śni —
Tylko nam więcej słońca, słonecznych więcej dni.

CZERWONE WODZE

Na skraju lasu, tuż nad rzeczką blisko,
Było mrowisko.
Aż się roiło od mrówczego ludu.
Większość w mrowisku nie skąpiła trudu,
Z ochotą pełniąc, co komu przypada,
I większość mrówek była temu rada.
Rosło mrowisko w siłę z biegiem czasu,
Na skraju lasu.
Różne mrówki mieszkały w tym mrówczanym
grodzie—
Najwięcej było czarnych, lecz były w narodzie
Także we dwa kolory wyraźnie znaczone,
Co łebki miały czarne, zaś brzuszki czerwone.
Pędziły mrówki życie w dostatkach wygodnie,
Żyjąc w pracy i zgodnie.
Aż nagle, choć nie wsadził nikt w mrowisko kija,
Przykładna zgoda w mrówczym grodzie mija,
Co się rozłożył tuż na skraju lasku.
Pełno w nim teraz dysput i pełno niesnasku,
Bo oto mrówki, co brzuchy czerwone
Dumnie obnoszą, wielce napuszone,
Zechciały nagle, by ogólne grono
Mrówek ubarwić całkiem na czerwono.
Dalej więc wichrzyć wśród mrówczanych braci,
Mówić, że czarnym być się nie opłaci,
że dla mrówczego szczęścia przeznaczona
Przyszłość — czerwona!
Mniejszość ich była, lecz ta garstka mała
Uporem swoim tyle dokazała,
że by zachować w zgodzie mrówcze grono,
Wszystkie się dały barwić na czerwono.
Odtąd mrowisko wśród słońca promieni
Tonie w czerwieni.
Wszystko czerwone i strojne w szkarłaty.
Szkarłat królewskie tylko zdobi szaty,
Więc nie przystoi, by odtąd mrowisko
W godności swojej upadło tak nisko,
Iżby się pracą zwykłą trudzić miało.
Lecz cóż się stało?
Zabrakło pracowników, a rzeczy koleją
Przyszła słota przewlekła, wielkie deszcze leją,
Nikt kopca nie naprawia — toczą się dysputy,
Dlaczego kopiec słabnie, dlaczego popsuty?
Przyszły klęski, już mrówki koniec swój widziały,
Lecz zmył deszcz sztuczną czerwień i mrówki
przejrzały,
A kiedy się do rady rwą czerwone wodze,
Rozsierdziła się większość i zgniewała srodze —
Najpierw czerwonych zbawców z mrowiska
przegnały,
A potem do naprawy kopca się zabrały.
Uratowane mrowisko
Na skraju lasu tuż przy rzecze blisko.

Spotkało Mnie Zmartwienie

Zmartwiłem się ogromnie. Niedaleko domu,
Lecz na gruncie sąsiada, stał słynny z ogromu
Wiąz stary, co ocieniał przynajmniej z pół bloku.
Patrzyłem na to drzewo zawsze z dumą w oku
I zawsze je z szacunkiem należnym witałem,
Ile razy po pracy w dom swój powracałem.
Prześliczny wiąz, lat dwieście pewnie było trzeba,
By takiego olbrzyma wyżywiła gleba.
Wparł się gęstwą korzeni w ziemię, a konary
Wyciągnął hen do słońca z tęsknotą wiąz stary,
Jakby objąć pół świata, przycisnąć do łona
Chciał w przystępie miłości, porwać w swe ramiona
I ochronić przed krzywdą wszystkich ludzi w świecie.
Drzewo nigdy nie krzywdzi, chyba o tem wiecie.
Człowiek tylko co dobre dostaje od drzewa —
W lecie chłodzi go cieniem, a w zimie ogrzewa,
Owoc, dziecko swe własne, składa mu w ofierze,
A człowiek, nic nie dając, wszystko wzamian bierze...
Wczoraj wracam do domu, spojrzałem na lewo
I aż mi dech zaparło — sąsiad ścinał drzewo . . .
Skoczyłem, chciałem błagać, grozić, perswadować . . .
Zapóźno; już nie było i czego ratować,
Bo bezmyślna siekiera pień przez pół przeżarła,
Już do rdzenia zębiskiem zajadłem się wparła
I wiąz tylko już jęczał, jak człek przy skonaniu.
Chciałem pobić sąsiada przy owem rąbaniu,
A on na mnie spoglądał, jakby na warjata...
Wciąż rąbał — ile razy ostrze na pień zlata,
Tyle razy coś w serce jakby mnie ukłóje.
Może drzewo boleści rąbania nie czuje,
Lecz ja czułem wyraźnie . . . Powinno być prawo,
Karzące bezlitośnie, choćby nawet krwawo,
Każdego, co bezmyślnie drzewo takie ścina.
Tym razem była głupia ścinania przyczyna,
Gniewał się sąsiad na to, że przy wielkiem drzewie
Dom jego niknie z oczu, więc w strasznym swym
gniewie
Postanowił usunąć wiąz z przed domu swego
I stąd wczoraj widziałem go tak rąbiącego.
Padł wiąz stary — gdy potem ogromne to brzemię
Konarów i pnia swego z trzaskiem niósł na ziemię,
Łez pełne miałem oczy, choć się tego wstydzę —
Od tej chwili sąsiada mego nienawidzę.

JAK BARWNE MOTYLE

Nie gniewaj się kochanie, że prezent gwiazdkowy
W tym roku będzie skromny. Ni pierścionek nowy,
Ni zegarek z brylantem niech Ci się nie marzy . . .
Ah, wstydź się! Poco zaraz ten grymas na twarzy?
Mówisz, że obietnicy nie dotrzymam danej?
Tak, prawda, lecz choć Tobie, mojej ukochanej,
Chciałbym cały świat bogactw darować w pokłonie,
Koroną z jasnych pereł przyozdobić skronie,
Choć chciałbym kwieciem róży słać przed Tobą drogę,
W tym roku dać prezentu droższego nie mogę,
Lecz wiem, że mi przebaczysz. Nie z braku funduszy
Chcę skromnym być w ofierze. Pragnę z całej duszy
Byś była uśmiechnięta, gdy Gwiazdka zaświeci.
Lecz pomyśl — te biedaków wynędzniałe dzieci
Wyciągają wychudłe rączki w naszą stronę
I płaczą. A łzy nędzy takie gorzko-słone,
Że nawet gdybym w piersi miał serce z granitu,
Rozmięknie . . . Między nami niech nie będzie zgrzytu,
Jeśli prezent w tym roku skromny Ci przyniosę . . .
Widziałem na ulicy dzisiaj dziecko bose . . .
Pomyśl, w grudniu . . . Twarzyczka blada jak opłatek . . .
Jam tylko jedno widział . . . Ileż takich dziatek
W zaułkach nędzy miejskiej o dzisiejszej porze?
Wybacz, że Ci w tym roku skromny prezent złożę.
Nie będzie to pierścionek, nie zegarek złoty . . .
Może zdołam uchwycić ten uśmiech sieroty,
Co szczęściem opromieni wychudłe policzki,
Gdy bose jej nóżęta odzieję w trzewiczki
I łyżką ciepłej strawy na Gwiazdkę posilę?
Ah, schwytam te uśmiechy, jak barwne motyle,
Delikatnie je zamknę, jak skarb drogocenny,
W dłoniach razem złożonych jakby do nowenny
I przyniosę Ci w darze. Ten uśmiech sieroty,
Wierzę, będzie Ci droższy nad wszystkie klejnoty.

ZASTĄPI KWIATÓW BRAK

Ostatnie kwiaty w mym ogrodzie —
Zważy je wkrótce szron.
Drżące, cichutkie stoją w chłodzie,
Zgadując rychły zgon.

Lecz ani jeden się nie skarży,
Podnoszą dumnie skroń —
Sto barw przecudnych w nich się żarzy,
Ofiarnie niosą woń.

I kwitnąć będą do ostatka,
Kochane kwiaty me.
Tak mi każdego żal jest płatka,
Lecz je dla Ciebie rwę.

Bo kiedy one tylko w lecie
Dać mi swą mogą woń,
Ty najpiękniejszy kwiat na świecie,
I w zimie podasz dłoń.

A dłoń Twa jakby lilja biała
Pachnąca, piękna tak,
Gdy będzie w mojej dłoni drżała —
Zastąpi kwiatów brak.

CHOĆ BURZA HUCZY

Zawył spuszczon z stalowej smyczy wichr północny.
Z pod zwału chmur skłębionych wprost na mnie upada
I szarpie jak pies wściekły, w kłach straszliwie mocny . . .
Głupi. Myśli — odrazu cios śmiertelny zada,
Zdruzgoce, zmiażdży, zgniecie i na wszystkie krańce
Świata szczątki rozrzuci . . . Miota się po fali,
Świszczy w linach masztowych, wyprawia łamańce
Przy burtach mego statku, w bok wypukły wali
Bałwanów ugrzywionych i ryczących wściekle
Całe krocie . . . wciąż walczę i płynę w odmęcie . . .
Głupi wichrze. W nie takim bywaliśmy piekle . . .
Do walki jak do tańca, choćby na okręcie.
Dawniej koń w bój unosił; dziś nas niesie fala,
A kiedy bronim swego, nie straszne nam wrogi —
Czem sroższy bój, tem serce bardziej się rozpala . . .
Rwie wicher — okręt płynie i nie zbacza z drogi.
Północnemu wichrowi w sukurs pędzą gromy —
Pioruny biją w morze, liżą masztów reje,
Lecz serce nasze twarde, jak skaliste złomy,
Nie zadrżą w walce z burzą, a oko się śmieje,
Radosne, pełne dumy, bo raz wraz spoziera
Tam, kędy burza w masztach łom najsroższy czyni,
Gdzie wbrew wichrom wciąż polska powiewa bandera.
Choć burza grodzi drogę — płyniemy do Gdyni.

WIOSENNY CIĄG

Panie Antoni — bawisz się kręglami?
A czy pamiętasz, jak tam nad olchami,
Na skraju lasu, za ojcowskim dworem,
Słonki wiosenny ciąg czynią wieczorem?
Pamiętasz, jak to dołem mrok już szary,
Mgiełka zasłania rozległe moczary,
A tylko górą gąszcz drzew się czerwieni
Od zórz wieczornych rozpierzchłych promieni?
Niebo bez chmurki, wprost nad twoją głową,
Przybrało barwę tak seledynową,
Jak tylko w Polsce zdarza się to wiosną.
Stoisz, gdzie zrzadka małe krzaki rosną
I czekasz — nagle mgieł lekką zasłonę
Przerywa słonka, leci w twoją stronę,
Na jasnem nieba tle widoczna nieco.
Za nią bezładnie inne ptaki lecą,
Aby za chwilę zapaść w szarym mroku . . .
Podnosisz strzelbę, masz muszkę na oku —
Błysk, huk, co echem biegnie hen po lesie . . .
Potem pies wierny zdobycz do nóg niesie.
Grzmi strzał po strzale, pomiędzy olchami . . .
Panie Antoni — bawisz się kreglami?

Chcę Walczyć i Zwyciężyć

Hej, świecie ty, o lepsze weźmiem się za bary!
Chce mi się żyć, jam młody, w sił moich zenicie.
Żem młody, więc mam prawo, a tyś świecie stary.
Uśmiecha mi się przyszłość, uśmiecha się życie,
Pod skórą mięśnie prężą się jak z twardej stali,
Moc piersi mi rozsadza, serce tak zuchwałe,
Że łaknie walki, trudów, do zwycięstw się pali.
I gotów jestem walczyć choćby życie całe . . .

Hej, życie! Z tobą także wezmę się za bary.
Tyś twarde, powiadają, tem większa zachęta,
Tem większe z piersi mojej krzesać będę żary,
Tem śmielsza będzie w walce myśl młoda poczęta
I naprzód pójdę w życie. Hej, złamać zapory,
Obalać wał zmurszałych przesądów, co z wieku
Oblęgły nasze dusze, umysł gnębią chory,
Krępując ową iskrę duchową w człowieku,
Która wiedzie do czynu, co się rodzi z trudu.
Hej, naprzód! Łaknę walki, co pokój buduje.
Nie dla dobra własnego—dla mojego ludu,
Chcę walczyć i zwyciężyć. Serce się raduje
Pewnością, że choć padnę, z światem tocząc boje,
Ktoś inny zaraz w moje stąpać zacznie kroki
I nie pójdą na marne ciężkie trudy moje,
Gdyż przyszłość nam szczęśliwszą przyznały wyroki.

SOBÓTKI

Gdy już całkiem z ukosa z zachodnich błękitów
Padnie promień słoneczny od drzew leśnych szczytów
I mrok zacznie zapadać w niższej borów stronie,
Na polanie nadrzecznej sobótka zapłonie
I zaczną się misterja świętojańskiej nocy . . .
Strzeżcie się Nimf, Rusałek i Dziwożon mocy,
Które w noc świętojańską tak zasobne w siłę,
Że bez trudu omocą — takie piękne, miłe
A takie przytem złudne, przekorne, wykrętne,
Że do zguby cię wiodą. Niby to namiętne,
Od kochania zaczyna i miłość rozpala,
Lecz potem zdradzi zaraz — więc się trzymaj zdala . . .
Łatwo mówić . . . Nie zdzierżysz, skoro takie cudne,
Tak ponętne, tak słodkie, że chociaż ułudne,
Chcesz być blisko tych zwodnic . . . A wszak jest ich tyle
Przy ogniu na Sobótkach, kędy cudne chwile
Spędzi każdy . . . Ognisko Sobótki zapłonie
I wówczas, łącząc w uścisk tajemniczy dłonie
Pójdą młodzi — za nimi podreptają starzy
W cienie nocy, w mrok leśny . . . Może się tam zdarzy
Szczęście znaleźć, paproci kwiat błyszczący w mroku —
Takie chwile trafiają się tylko raz w roku . . .
Sobótki . . . Dookoła wielkiego ogniska
Krąg młodzieży się zbiera, zapał z serc wytryska,
W głosy coraz zgodniejsze składają się chóry
I leci pieśń prastara, bijąc aż pod chmury,
Na skrzydłach zaś tej pieśni serca drżące lecą
W te strony, gdzie podobne ogniska dziś świecą
Na ziemi bardziej drogiej . . . Zapłonie Sobótka —
Noc szczęścia świętojańska — szkoda, że tak krótka.

DWA WYSIŁKI

Widziałem walkę siłaczy.
Potężne chłopy, groźny wzrok, kark byczy.
Lecz cóż to wszystko znaczy?
To na arenie dziś się tylko liczy.
Na polu walki, gdzie karabin bzyka,
Kędy armata głos podnosi władczy,
Po pierwsze na nic siła zapaśnika,
Po drugie: wcale go tam nie uświadczy . . .
Gdy cherlak chodzi w mundurze,
Nadludzkie trudy ponosi,
Zapaśnik gdzieś w mysiej dziurze,
O wyjątkowe przywileje prosi
I dzięki swojej wyjątkowej sile,
Te prośby jego spełniane są mile.
Gdy cherlak po łbie oberwie,
Zapaśnik zawsze w rezerwie.
Lecz gdy już pokój, gdy wojna skończona,
Siłacz potężne wystawia ramiona —
To jego żniwa jest chwila.
Kark byczy dziko pochyla,
Grzbiet gruby w pałąk wygina
I przedstawienie zaczyna.
Cherlaków zgraja ciekawa
Zazdrości i bije mu brawa.

STĘSKNIONA

Widuję ją codziennie. Mieszka niedaleko.
Rączka jej delikatna, bieluśka jak mleko,
Wskazuje, że w dostatkach codziennie opływa.
Choć ją często spotykam, lecz jak się nazywa,
Nie wiem wcale. A widać, że jest jeszcze młoda.
Ma męża, dom, samochód, pieska. — Jej uroda
Przedmiotem jest zazdrości kobiet z okolicy.
Nieraz widzę, jak z pieskiem chodzi po ulicy,
Jak go pieści, całuje, wozi na spacery.
Widać objaw miłości do pieska jest szczery
I dziwno mi doprawdy, że mając dostatki,
Nie pójdzie za popędem naturalnym—matki.
Bezdzietna? Błogosławieństw odmówiły nieba?
Biedaczka, w takim razie żałować jej trzeba.
Lecz czemu, gdy uścisków dziecięcych stęskniona,
Zwierzaka tulić musi do swojego łona?
Tyle sierot na świecie, bez ojca, bez matki,
Takich małych i ładnych jak te polne kwiatki,
Spragnionych dniem i nocą matczynej pieszczoty.
Dlaczego nie wziąć takiej maleńkiej sieroty,
Otoczyć ją opieką, karmić, pielęgnować.
I pokochać jak własne, szczęściem się radować?

Pani z Sandomierskiej Ziemi

Prosisz, bym ziemię śpiewał twą rodzinną,
Kiedyś dzieweczką chodziła niewinną,
Przy boku matki i ojca starego?
Mówisz, żeś rodem jest z Sandomierskiego?
Piękna to ziemia, historyczne gniazdo —
Sandomierz kiedyś błyszczącą był gwiazdą
Wśród grodów polskich, a słynął z pszenicy
Po całym świecie — mówią historycy...
Tam, kędy Wisła z Sanem wody zlewa,
Gdzie brzeg wysoki i zielone drzewa,
Po lewej stronie naszej Wisły rzeki
Stoi gród sławny, a przed nim daleki,
Prześliczny widok, jak zasięgnie okiem,
Po prawym brzegu, na polu szerokiem,
Wielowieś leży, gdzie mury klasztorne
Dominikanki zajęły pokorne,
Na służbie Bogu i ludziom trwające.
A czy pamiętasz, jak stojąc na łące,
Wśród łóz nadbrzeżnych, poranną godziną,
Będąc młodziutką bez troski dziewczyną,
Patrzałaś w miasto widoczne hen w górze,
Jak się kąpało w złocie i purpurze,
Co od promieni wschodzącego słońca
Grały po dachach od końca do końca?
Pamięta pani? Ja nie zapomniałem.
Sandomierz tylko raz w życiu widziałem
I do tej pory pamięć ma go chowa.
By Polskę śpiewać — Za słabe są słowa.

FALA ŚPIEWA

Południe . . . Hel skąpany w złotym słońca blasku.
Fala śpiewa . . . Usiadłem na wybrzeża piasku,
Z rozkoszą zanurzając w sypkich ziarnkach dłonie,
A każde ziarnko piasku inną barwą płonie
I zda się opowiadać dawnych czasów dziwy.
Te obok, które kolor mają szaro-siwy
Szeptają mi do ucha, jak przed laty wielu
Wody Wisły szarpały urwiska Wawelu,
Gdy jeszcze smok pieczary zamieszkiwał wnęki,
By zginąć na ostatku z Krakusowej ręki.
A owe czerwonawe, twarde, ostre żwiry
Mówią jak to hen w Tatrach pękały porfiry,
Bazalty i granity w lodowej epoce.
Potwierdza ich opowieść woda, co chlupoce
U stóp moich na brzegu. Ileż to jej z Wisły
W Bałtyk płynie codziennie, jaki związek ścisły
Ma każda kropla wody z każdem piasku ziarnem,
Które choć niepozornem, dzisiaj takiem marnem
Wydaje się dla oka, dawniej częścią skały
Było w górach olbrzymich, co od wieków stały
I stać będą przez wieki na polskiej krainie.
Z Karpat Wisła się rodzi i do morza płynie,
A ten piach, co zalega Bałtyku wybrzeże,
Z polskich gór, z polskiej ziemi początek swój bierze,
Sprawiając, że do morza mamy święte prawo.
Przepływała ta woda przecież pod Warszawą,
A nawet dno zasłane piaskami siwemi
Bałtyk dostał ofiarnie z starej polskiej ziemi.
I teraz fala śpiewa jak to dawniej było,
Piasek szemrze — a sercu tak się robi miło,
Tak dobrze . . . Hel skąpany w złotym słońca blasku.
Z lubością nurzam dłonie w czystym, naszym piasku.

SAMA PRZYSZŁA

Jeżeli przedtem o wiośnie pisałem,
Było to tylko serca przeświadczenie,
Że wiosna przyjdzie — przyjdzie jak zjawienie,
Że ją przyjmiemy naszem sercem całem.
A że tam czasem na rymy o wiośnie
Z szyderczym śmiechem marzec śniegiem sypał,
Wiatr zimny zawiał, mróz w policzki szczypał,
Śmiałem się z tego, śmiałem się radośnie.
Jam się uśmiechał do wiosennej pory,
A znowu ze mnie śmieli się wciąż ludzie
Że w czasie zimy, w redaktorskiej budzie,
Piszę o wiośnie, gdy człek z zimna chory.
I przyszła wiosna, co ludzi rozmarza,
A chociaż wcale nie rozkwitła jeszcze,
Choć w palce chuchasz, choć cię biorą dreszcze,
Nastała wiosna — wiosna z kalendarza.
Teraz już nie mam ochoty do śmiania;
Precz uleciały wiosenne nastroje;
Na nic o wiośnie zapowiedzi moje . . .
I takby przyszła bez mego pisania.

SIERPNIOWA MUZYKA

Czyście słyszeli, jak to w dzień sierpniowy
Muzyka cudna po świecie rozbrzmiewa? —
Pole rozległe, obok las dębowy,
Strumyk przez pole wody swe przelewa,
W strumyku stopy swe kąpie dąb stary.
A hen tam z góry, gdzie nieba sklepienie,
Słońce na ziemię zsyła swoje żary —
Palącem złotem świat zdobią promienie
I są tą ręką, która w struny trąca.
Pole jest lutnią, zaś harfą dąbrowa,
Struną jest woda w strumyku szemrząca,
Jest nią koników polnych drżąca mowa,
Źdźbła traw wyschniętych, dębowe konary —
Wszystko jest struną tej cudnej muzyki,
Co się w doliny rozpływa i jary.
Nawet te suche, sterczące patyki
W chruścianym płocie też są struną brzmiącą . . .
A każda struna czysty ton wydaje,
Gdy ją promienie słonka lekko trącą.
Gdzieś tam od boru wiatr chłodny powstaje
I w inne struny wraz z słońcem uderza. —
Teraz sad nuci, szumiąc w zgodnym chórze,
Rozległe pole pełnią głosów śpiewa,
A zaraz potem, niosąc głos swój w górze,
Muzykę harfy zaczynają drzewa.
Na chwilę przerwa — w następnym momencie
Chór ptaszząt buchnął i aż się zanosi
Każdy ptak w śpiewie — pieśń dziękczynną głosi . . .
Teraz, artysta na swym instrumencie,
Solowy koncert słowik rozpoczyna
I wszystko milknie, aby znów za chwilę
Rozgłośnym śpiewem zabrzmiała równina.
A jest w tym śpiewie cudnym głosów tyle,
Taka harmonja w tem ogólnem graniu,
Że chciałbyś słuchać i słuchać bez końca,
Od pierwszej chwili zaraz przy świtaniu,
Aż do ostatniej przy zachodzie słońca
I jeszcze potem. — Cudny dzień sierpniowy,
Pole rozległe, obok las dębowy.

DZIUNI NA URODZINY

I co Ci dać kochanie — bo coś dać Ci trzeba. —
Chcesz tej gwiazdki złocistej z błękitnego nieba,
Co prawie tak błyszcząca jak Twoje oczęta?
Cudnieby wyglądała do włosów przypięta,
A Tybyś się pyszniła nad inne dziewoje,
Że jedyne na świecie te klejnoty Twoje
Może tęczy mieć pragniesz siedmiobarwną wstęgę?
Powiedz, to Ci otworzę czarodziejską księgę
I tyle z niej wysnuję bajek złotosłowych,
Że wciąż będziesz w krainie snów, marzeń tęczowych,
Przecudnych i tak lekkich, jak z siatki pajęczej . . .
Ah, prawda, Tyś jest warta więcej, niźli tęczy.
Chcesz to z słonka promyków uprzędę Ci szatę
I będziesz miała w święto suknie tak bogate,
Jakich i na królewskim nie napotkasz dworze.
Całe snopy promieni tych do stóp Ci złożę,
Byś mogła w nich przebierać, odziać w nie się całą.
A jeśli i tych darów będzie Ci zamało,
Własne serce Ci oddam — z piersi je wykroję
I drgające miłością oddam w ręce Twoje,
Byś mogła się przekonać, że tylko do Ciebie
Bije wierną miłością, żeś tą gwiazdką w niebie,
Że tą tęczą promienną jesteś życia mego,
Że poza Tobą więcej nie widzę niczego,
Tak Cię kocham, żeś dla mnie jest jasnością słońca.
I kochać Cię tak muszę zawsze aż do końca,
Boś mi szczęściem największem, Ty skarbie jedyny.
Czy wystarczy tych darów na Twe urodziny?

CZY WARTO?

Wrzesień. Równo pod lasem pług farmerski orze.
Gasną już na zachodzie rubinowe zorze,
Cały dzień wytrwał w pracy właściciel tej ziemi.
Tyle lat już ją orze rękami własnemi,
Zrósł się z nią, jak to drzewo na skraju dąbrowy.
Dyszy ziemia wilgocią — czeka na siew nowy,
Gotowa ziarno przyjąć, utulić miłośnie,
Niech jak dziecię przy piersi matczynej wyrośnie,
By w roku przyszłym w słońcu stokrotny plon dało.
Naorał się tej ziemi w swem życiu niemało
I zawsze mu płaciła za trudy obficie.
Stawał z pługiem do orki już o białym świcie,
A schodził, gdy ostatnie przygasały zorze.
Dobrze zawsze rodziła, narzekać nie może
I zawsze dawniej jakoś w porządku bywało —
Gdy pole w nieurodzaj ziarna niezbyt dało,
Bieda była, farmerska była pusta kasa —
Trzeba było porządnie nieraz ściągnąć pasa.
Lecz kiedy urodzajem pobłogosławiło
Niebo, zaraz dostatniej, radośniej się żyło
I szły dzięki w niebiosa za urodzaj zboża.
Szło ziarno w dobrej cenie za dalekie morza.
Dostatek był farmera towarzyszem co dnia
I śmiała mu się przyszłość jak jasna pochodnia.
A dzisiaj? Czem ci więcej wyda pole ziarna,
Tem przyszłość niepewniejsza, dola bardziej czarna.
Więc zwiesił farmer głowę, zwolnił nagle kroku,
Popatrzył po zoranem polu ze łzą w oku,
A potem westchnął zcicha — czy zasiewać warto? . . .
. . . . .

Chwilę dumał, a potem z tą wolą upartą,
Jaką tylko rolnicze pojąć może plemię,
Poszedł dalej i z wiarą orał swoją ziemię.

ZIMOWA SKARBNICA

Wyszedłem do ogrodu wczoraj wcześnie zrana, —
Ziemia wszędzie dokoła śniegiem zasypana,
Sad jakby białem futrem — śniegiem otulony,
Na drzewach z sopli lodu i z śniegu festony
Wyglądają jak droga koronkowa kapa.
Na krzaku każdym sterczy wielka, biała czapa
I wszystko się skąpało w czystej śniegu bieli.
Nagle z poza drzew sadu promień słońca strzeli,
Obejmując pieszczotą krajobraz zimowy. —
Natychmiast z czystej bieli stał się kolorowy,
Bo śnieg iskrzeć się zaczął wśród promieni słońca,
Jakby ktoś strumień pereł wylewał bez końca,
Sypiąc hojnie szafirów i djamentów krocie
I puchów edredeńskich umaczanych w złocie.
Świat mi się w jednej chwili wydał jak skarbnica,
Pełna drogich klejnotów, co oczy zachwyca
I podziwiać się każe aż do upojenia.
Z podziwem biegły moje na ten świat spojrzenia,
Nie chciało mi się odejść — lecz praca czekała.
Nie w miasto lecz na farmy dusza mnie wołała,
Chciało mi się przez pola iść tam, gdzie polana
Wśród znanego mi lasu śniegiem zasypana,
Gdzie teraz taka cisza, jak w starej świątyni,
Kiedy ksiądz w czasie sumy Podniesienie czyni . . .
Nie mogłem! obowiązek wzywał mnie surowy,
Więc poszedłem, żegnając krajobraz zimowy.

Na Skrzydłach Niesiesz Sławę...

Kapitanowi Orlińskiemu

Hej, orłom wziąłeś skrzydła, Panie Kapitanie!
Usiadły pełne wstydu na Gerlachu szczycie:
Gdzie im tam dzisiaj z Tobą puszczać się w latanie.
Wyścigłeś najmocniejsze na szlakach w błękicie,
Górniej, śmielej i dalej sięgając w swym locie.
Nie darmo orlej treści dano Ci nazwisko!
Górą lecisz—to kąpiesz się w słonecznem złocie,
A kiedy Ci ochota przyjdzie latać nisko,
Jaskółka pozazdrościć musi Ci zwrotności.
Na skrzydłach swych w świat niesiesz sławę narodowi
I Tobie się do sławy cudna droga mości.
Zabrałeś Ty odwagę i skrzydła orłowi,
Lecz że Biały to Orzeł pióra swe Ci dawa,
Górne sfery przebojem zabierasz w władanie,
Udziałem Twym zwycięstwo musi być i sława!
Dla Polski pierwsze miejsce zajmij, Kapitanie!

KOGUT I SKOWRONEK

Pokłóciły się z sobą kogut i skowronek
O to, czyją zasługą, że gdy wstaje dzionek,
Słońce codziennie wschodzi jak na zawołanie.
Skowronek twierdził głośno — "To moje śpiewanie
Zmusza słońce do wschodu".—Kogut znów się śmieje
I mówi — "Słońce wschodzi, no bo kogut pieje".
O zakład poszli razem. Nie śpiewał skowronek,
Jednak weszło słoneczko, kiedy nastał dzionek.
Kiedy potem znów kogut wstrzymał swoje pianie —
I tak nastał wschód słońca i było świtanie.
Potem próba ostatnia — ptaki powaśnione
Zamilkły oba razem i we wschodnią stronę
Utkwiły pytające, trwożne swe spojrzenie . . .
Bez pomocy ich obu złociste promienie
Wybiegły nad horyzont, a wschodząc wspaniale,
Wtoczyło się na niebo słońce w całej chwale.

Pachną Kwiaty, Barwami Się Mienią

Dziś Zielnej . . . Przed ołtarze Przenajświętszej Matki
Wieśniaczki niosą w dani z pól zerwane kwiatki,
A ksiądz święci to ziele z polskiej niwy rwane . . .
Pamiętacie te strony tak w młodości znane,
Że niczem nie wymaże ich z naszej pamięci?
Te chwile, kiedy w Polsce proboszcz ziele święci?
Nim jeszcze słonko zeszło nad skąpane rosą
Łąki, pola i lasy, szły dziewczęta boso
Rwać kwiaty do bukietów i pachnące zioła,
By je świeże i barwne zanieść do kościoła,
Do stóp Marji w ofierze—a więc maki krwawe,
Bławatki tak niebieskie, jak te oczy łzawe
Najpiękniejszej dziewicy w całej polskiej ziemi,
Rumianki z oczkiem żółtem i płatki białemi,
Ostróżki fjoletowe, firletkę różową,
Z ogrodów georginje z okrąglutką głową,
Astry barwne, z płatkami jak gwiazdy promienie
I pyszne amarantem kogucie grzebienie.
Zaś z lasu, rwane dziewcząt spracowaną dłonią,
Fjoletowe dzwoneczki, co wieczorem dzwonią
Na pacierze drzew leśnych, gdy już gasną zorze,
Najpiękniejsze z tych kwiatów, które rosną w borze.
Wszystkie w bukiet zebrane—i kwiaty i zioła,
Jeszcze świeże od rosy niosą do kościoła,
Kładą się do stóp Marji—i niebo się śmieje,
Radośnie, na znak szczęścia. Słoneczko jaśnieje
I serca ludzi również szczęsne, rozjaśnione.
Pamiętacie z lat dawnych te chwile minione? . . .

Dziś wielkie święto w Polsce, większe niż przed laty
I wonniejsze, barwniejsze te święcone kwiaty,
Bo z wolnej rwane ziemi i dłoń rwie je wolna.
Wszak krwią polską nasiąkła każda grudka polna,
Użyźniła się krwią tą przelaną obficie
Tych, którzy za Jej wolność chętnie kładli życie,
Gdy Wódz w boje prowadził, cel wskazując złoty,
A za nim, z silną wiarą Legjonowe Roty
Szły, twardą stopą mierząc od końca do końca
Tę ziemię, którą odbił Piłsudski—Obrońca.
Dziś Zielnej . . . Pachną kwiaty, barwami się mienią . . .

Podwójnie są święcone, bo i krwi czerwienią
I wodą z kropielnicy kościółka wiejskiego.
Czyż można nieść przed ołtarz coś bardziej godnego,
Jak te kwiaty z ziem polskich z krwi świętej zrodzone,
Gdy lud śpiewa w kościółku — "Pod Twoją Obronę"?
A kiedy do modlitwy składają się dłonie,
Lecą w niebo z tych kwiatów przecudowne wonie,

ROK NOWY BIEŻY

Kończy się stary, smutkiem ciężki rok
I jeszcze echa skargi nie przebrzmiały,
Jeszcze przyćmiony łzami ludzki wzrok,
Jeszcze się dymy zgliszcz, klęsk nie rozwiały,
Lecz już nadchodzi upragniony Ten
Rok Nowy, zwiastun bardziej szczęsnej doli,
A każdy w przyszłość wzrok wytęża hen,
Z nadzieją w sercu, że minie, co boli,
Że się zabliźnią straszne jamy ran
I przyjdzie cierpień ciche zapomnienie . . .
Rok Nowy bieży, losów naszych Pan.
Gdy zechce, wszystko zmieni na skinienie,
Przeminie smutek, gorycz, rozpacz, ból,
Gdy przyjdzie Nowy Rok, młode pacholę,
Nadziei ludzkich i spodziewań król,
Który ma zmienić w lepszą wszystkich dolę
I lepszym stać się, niż ten stary był.
Oby się wszystkim życzenia spełniły,
Każdy sen, który tak cudnie się śnił,
Oby się w szczęścia łańcuch dni uwiły,
W pokoju, zgodzie poprzez cały rok,
I wszystkie chwile niech Wam będą jasne,
Do szczęścia niechaj wiedzie każdy krok —
Tylko nam więcej wiary w siły własne.

GŁODNE DZIECI PŁACZĄ

"I czem ich w czasie zimy nakarmię, napoję?
Głód idzie,, cicho w kącie płaczą dzieci moje,
Po wybladłych policzkach łzy jak perły płyną . . .
A mnie już łez nie stało ... Gdzieś tam wewnątrz giną
I pieką serce strasznie niewymowną męką;
O chleb żebrzę dla dzieci wyciągniętą ręką;
Przełamałam wstyd, dumę ... Lecz gdy dzieci płaczą,
Dla matki żadne inne wartości nie znaczą . . .
Chłód idzie . . . Mnie tam łachman wystarczy na grzbiecie
Chleb suchy. Lecz trzewiczków nie ma moje dziecię.
Maleńkie nóżki, zimną gdy dotkną podłogę,
Zsiniałe są i drżące . . . Już prosić nie mogę,
Bo pierś biedna z rozpaczy takim szlochem dyszy,
Że prośby nie rozpozna ten, kto mnie usłyszy,
W słowach mych buntu, groźby zwykle dopatrując,
Bardziej bojąc się nędzy, niżeli żałując.
I zanim usta moje wyszeptają prośbę,
Odchodzi, spiesząc, nieraz rzucając mi groźbę,
Że policję zawezwie. Tylko cicha skarga
Leci za odchodzącym, a mnie rozpacz targa,
Ostatek sił opuszcza, ogarnia niewiara . . .
Czyż dzisiaj o nas biednych nikt się nie postara?
Czy litość odleciała z ziemskiego padołu?
Cierpię strasznie i cierpią me dzieci pospołu.
Strach pomyśleć, co będzie. Jak inaczej żyłam
Rok temu . . . Ja choinkę dzieciom przystroiłam
Na Gwiazdkę w przeszłym roku. Był grosza dostatek.
A dzisiaj? Ileż takich, jak ja, biednych matek,
Co płaczą, choć nie roni łez powieka sucha,
Co żebrzą dla swych dzieci—i nikt nie wysłucha,
Opuszczonych, w rozpaczy...Dzieci z głodu płaczą...
Czy te słowa rozpaczne nic dla was nie znaczą?
Przeminą tak bez echa wołania matczyne?
Ratujcie dzieci moje! Ja z ochotą zginę,
Niech one tylko żyją." . . .

ŚP. MICHALINA MOŚCICKA

Biją dzwony — to naród chowa swoją Panią.
Zgasło serce dla innych tak wiernie bijące
I kraj cały w żałobie płacze dzisiaj za Nią.
Smutek żalny w dal niosą dzwonów tony drżące,
Od Karpat aż po Bałtyk, od Śląska po Wilno.
Odeszła Opiekunka i Wspomożycielka,
A tym, co Ją w grób niosą, tak jakoś niepilno .
Przepoiła pierś ludzką taka żałość wielka,
Jak wówczas, gdy się traci matkę ukochaną.
Któż teraz karmić będzie niewinną sierotę,
Gdy niebo nam zabrało tę postać świetlaną,
Gdy odeszło w zaświaty miłosierdzie złote? —
Biją dzwony — za trumną Pan Prezydent kroczy...
Tyle lat w twardej pracy, w doli i niedoli
Trwali razem. Łza cicha z pod rzęs Mu się toczy...
Niedawno syna chował . . . Dziś znów serce boli,
To serce równie wielkie, dla wszystkich otwarte,
A każde jego drgnienie budzi czułe echo
W miljonach serc narodu, który niezatarte
Wspomnienie po Niej chowa — i to Mu pociechą.

Bądź Pozdrowione Mocne, Niezwalczone Morze!

Bądź pozdrowiony dzisiaj wód morskich bezmiarze
My zżyci z sobą z dawna. Tułacze-nędzarze
Na krańce świata niosłeś na swej mokrej fali,
Gdy wróg pędził z chat naszych, a myśmy płakali
Z tęsknoty. Tyle łez tych wpadło w twoje łono,
Że zgorzkniała twa woda i stała się słoną . . .

Bądź pozdrowione mocne, niezwalczone morze!
Gdy na zachodzie palą się wieczorne zorze
I słońce już ostatek promieni zapala,
Jakąś znaną nam barwą czerwieni się fala
Witającego nockę czarną oceanu . . .
Ile to wody z Wisły i z Bugu i z Sanu
Wlało się w twoje łono poprzez długie wieki . . .
Zmywały polską ziemię te kochane rzeki,
Spłókały krew przelaną pod Wawrem, Rokitną,
Z pól, które wciąż czerwienią się gdy maki kwitną,
I z tych, co pod Dęblinem, z tych, co pod Warszawą,
Niosąc ją hen, do morza, smugą długą, krwawą,
A morze ją chłonęło . . . Sądzisz, że zniknięta?
Nie! Ona wciąż tam płynie, nieśmiertelna, święta,
I tylko kiedy zorze płoną na zachodzie,
Ujawnia się krew taka na rozlśnionej wodzie,
W majestat strojąc morze królewską purpurą . . .
Bądź pozdrowione morze, gdy czoło swe chmurą
Zakrywasz w chwili gniewu, gdy wichrów paszczęki
Piorunem grzmią . . . W poświstach wiatru dziwne jęki
To echo z lat minionych, których się nie prześni,
Lecące z Cytadeli, od Krożów, od Wrześni,
Z stu innych miast, wsi naszych . . .
A kiedy południe,
Niebo czyste i cisza, tak śmiejesz się cudnie
Modrą falą, jak śmieje się dziś Polska cała,
Co Wolna, Niepodległa do życia powstała
Przez Wodza, przez Czyn Zbrojny, wiarą niepojętą
W siły własne! Dziś morza polskiego jest święto!

MAJ IDZIE...

Hej, gdyby tak w ten święty, pierwszy dzień majowy
Zebrać dokoła siebie robotnicze rzesze,
Żeby wszyscy ku ustom mym zwrócili głowy,
Słuchając słów płomiennych, co z piersi swej krzeszę,
Tobym im w robotnicze święto rzucił radę
Jak pozbyć się niedoli, jak wyzbyć cierpienia.
I jużby nie straszyło nędzy widmo blade . . .
Tylko trzeba by wszystkie w stronę mą spojrzenia
Biegły i wszystkie uszy by były otwarte,
Wszystkie serca by razem skupiły się blisko,
Pragnąc jednym wysiłkiem, bezwzględnie uparte,
Wszystkie myśli by zbiegły się w jedno ognisko . . .
A wówczas rada moja byłaby przyjęta
I w czynby zamieniła się zbiorową wolą . . .
Tylko zebrać tę rzeszę, co dziś rozpierzchnięta,
Zgromadzić w jedno serca, co samotnie bolą
I zmusić do myślenia skołatane głowy —
Że nie przez nienawiści droga do przyszłości,
Że jeśli chcemy stworzyć lepszy system nowy,
To tylko w zgodzie świętej i bratniej miłości.

GRUDZIEŃ

Grudzień przyszedł i jako ten starzec zgrzybiały
Rozsiadł się, od zasp śnieżnych mocno posiwiały,
W koronę z lodu głowę strojąc pochyloną.
A choć postać ma starca ciężką, przygarbioną,
Okazale wygląda w tej czystej białości.
Grudzień przyszedł — puchami śniegów drogę mości,
Okrywa śpiące pola puchową pościelą,
Od czap śnieżnych się drzewa w cichych lasach bielą,
Dachy domów też strojne w śnieżne kapelusze,
Nad którymi się wznoszą dymów pióropusze.
Siadł stary, krzepką dłonią, silniej niźli młody,
Uchwycił ziemię całą i wnet skrzepły wody,
Stwardniała w grudę ziemia, aż roślin korzenie
Jęczą cicho. Mróz idzie. Stron północnych tchnienie
Smali skórę jak ogniem. Wykwitają szrony,
Lecz człowiek, choć zmarznięty, w futro otulony
Jakoś raźniej oddycha, jasne ma spojrzenie —
Grudzień przyszedł a w grudniu Boże Narodzenie.

NA POŻEGNANIE

Panu Wicekonsulowi Czesławowi Linda-Lipaczyńskiemu

Trudno. Na inny Cię wysłano szaniec,
Panie Czesławie, więc chociaż nam żal,
Wiemy, żeś tylko służbowy wybraniec,
Że chociaż idziesz od nas w szarą dal,
Ani na jotę nie zmienisz się w sobie,
Bez przerwy pełniąc rozkaz Naczelnika.
A takiej służby koniec tylko w grobie.
Padł rozkaz — palce do czoła przytyka
Żołnierz na służbie, wodza salutując,
By bez dyskusji, z wiarą w powodzenie,
Iść naprzód, czy to innego luzując,
Lub też, by innych wieść w walki płomienie,
Jedno na myśli mając przykazanie:
Wykonać rozkaz, nie splamić honoru!
Idziesz? Przyjm słowa te na pożegnanie.
Inni z przykładów Twych zaczerpną wzoru,
Jak trwać na służbie Tej, co zmartwychwstała!
A Tyś w tej służbie nie prosty z szeregu,
Wśród przodowników służbęć wyznaczono
Dawniej, gdyś atak na wroga wiódł w biegu
I teraz, kiedy Polskę odkupioną
W pokoju wielką Piłsudski buduje.
Idziesz z awansem — wyższy stopień czeka —
Więc choć Cię grono przyjaciół żałuje —
Choć tam niejedna łzą zalśni powieka,
Po męsku każdy z nas Ci gratuluje.
Odległość szczerej przyjaźni nie zmienia,
Więc dziś żegnając, mówię — do widzenia!

TELEFON DZWONI

Nieraz, gdy smętek tak duszę owłada,
Że siłą woli tłumisz skargi jęk,
Nagle, jak promyk słońca w duszę wpada
Wesoło brzmiący telefonu dźwięk.

Gdy chciwą ręką za słuchawkę chwytasz,
Nadpływa gama upragnionych słów
I więcej słuchasz, aniżeli pytasz,
Prosząc by wkrótce zadzwoniła znów.

A kiedy potem długie chwile płyną,
Zwątpienia kiedy przyjdą szare dni,
Samotny jesteś wieczorną godziną,
Telefon całą jest nadzieją ci.

Jakby był żywą, myślącą istotą,
Tak patrzysz w niego i czekasz na znak,
A myśl twa leci daleko, z tęsknotą,
Jak ten spłoszony pośród nocy ptak.

Gdy przed zwątpieniem nic cię już nie broni,
W pustce serdecznej gdy już tylko żal,
Nagle telefon znowu głośno dzwoni—
Upaja duszę znowu dźwięczność fal.

Aż przyjacielem stał ci się w rozterce
I nie porzucisz telefonu już,
Bo umie z sercem łaczyć drugie serce,
Jako powiernik kochających dusz.

KROKUSY KWITNĄ U MNIE

Zakwitły na trawniku mym wczesne szafrany,
Kwiat ten także krokusem czasami jest zwany.
Delikatny w układzie, lecz twardego życia —
Ledwie śnieg zniknie z ziemi, wychodzi z ukrycia,
Wysuwa główkę małą, słońcu w twarz się śmieje.
Kielich jego czasami jak ten śnieg bieleje,
Czasem w fjolet się stroi, to znów kolor zmieni
I pyszni się wśród trawy barwami czerwieni,
Jaskrawiej jak ta chustka krakowskiej dziewoi,
Gdy odświętnie ubrana przed kościołem stoi.
Krokusy kwitną u mnie, trochę mam ich mało,
Po bokach na trawniku więcejby się zdało,
Lecz za to znacznie więcej tulipanów wschodzi.
Z tej strony, kędy wicher od północy chłodzi,
Jeszcze małe są całkiem, lecz tam, gdzie w południe
Słońce świeci najmocniej, zielenią się cudnie
I już pączki kwiatowe z liści wyglądają.
Hjacenty także kwitnąć zwolna zaczynają,
Poznać łatwo z ich pączków przyszłą barwę kwiatu —
W środku klombu są białe, zaś kolor szkarłatu
Mają te, co po brzegach były zasadzone,
Zrzadka tylko niebieską barwą przegrodzone,
Razem tworząc trójbarwną kokardę w ogrodzie.
Gdy się całkiem rozkwitną o porannym chłodzie
I rosa brylantami uperli te kwiaty,
Będą szerzyć dokoła cudne aromaty,
Pysząc się w blasku słońca na środku trawnika,
Stokrotnie odpłacając trudy ogrodnika.

Chcę Innym Szczęście Nieść

Pytasz, dlaczego zrywam swoje kwiaty,
Psując w ogrodzie klomby i rabaty?
Chciałabyś wiedzieć, czy mnie żal nie bierze,
Gdy je oddaję? Odpowiem ci szczerze. —
Ja kocham kwiaty — lecz kocham i ludzi,
A gdy się w sercu sympatja obudzi,
To serce zaraz chce coś nieść w ofierze.
Przytem, gdy kwiaty ktoś odemnie bierze,
Cieszy się zawsze, a ta radość jego
Echem odzywa się wśród serca mego
I przez to również ja sam się raduję.
Bo tylko wówczas człek szczęście odczuje,
Kiedy je dzielić może z przyjacioły.
Kiedy dokoła świat cały wesoły
I w twojem sercu wstaje radowanie.
Słyszysz dokoła płacz i narzekanie,
To jeśli serce twoje nie jest z głazu,
Śmiechem nie ozwą usta się ni razu
I radość obcą będzie ci w tej chwili,
Kiedy chcę, aby przyjaciele mili
Chwilkę radości mieli z mej przyczyny,
Niosę im kwiaty — czy to w imieniny,
Czy też w rocznicę jakąś ważną w życiu,
Lub gdy samotni cierpią gdzieś w ukryciu.
Bo ludzkie słowa nie rozpędzą smutku.
Rzucam im bukiet kwiatów pocichutku,
Sam ustępując czemprędzej im z oczu,
Aby zdaleka stojąc, na uboczu,
Widzieć, jak smutne oczy pojaśnieją,
Jak twarz ożywi się iskry nadzieją,
Gdy ręka do ust niesie kwiaty świeże.
Ot, chwilka szczęścia, a mnie radość bierze,
Że z mej przyczyny ta chwilka jest dana,
Że przez me kwiaty osoba kochana
Chociaż na chwilę weselszą się czuje . . .
Kwiaty kochane, ja was pielęgnuję,
A jeśli zrywam was, wonne i świeże,
To przyjaciołom chcąc dać was w ofierze.

KUSOCIŃSKI

Słoneczny bije żar,
Aż parzy stopy stadjonowy piach . . .
Do biegu staje Lach—
W piersi gorącej krwi mu kipi war.
Preży swe mięśnie, pierś wypina "Kusy" —
Czeka na znak . . .
Porznięte w pasy, jak długie obrusy,
Ciągną się drogi, kędy człowiek-ptak
Poleci, widząc tylko jeden cel
I tylko jedną mając z wszystkich żądz,
By siłę mózgu z siłą mięśni sprządz—
Piersią u mety przerwać taśmy biel . . .
Jako napięty z całej mocy łuk
Skurczył się w sobie, jak warczący grom
Wyskoczył, kiedy strzału zabrzmiał huk
I rwie przed siebie . . . Nie tak skalny złom
Szalenie pędzi lawiną z Gerlachu
Jak Kusociński pędził po stadjonu piachu
Pędził, najlepszych zostawiając w tyle,
Jak w czasie burzy pędzi halny wiatr,
Jak orzeł, kiedy spieszy się do Tatr.
I uciekały trwożnie z pod nóg—mile . . .
Zacięty, twardy fin
Wciąż za nim. Piach im parzy ogniem stopy
W rozdęte pędem płuca powietrza ukropy
Dławiącą falą pchają się z oddechem.
Lechickiej ziemi syn
Wie, że ustąpić dziś byłoby grzechem—
Krok każdy jakby w pięty sztylet wbił,
Aż krew mu tryska z stóp,
Lecz w sercu ciągle nieugięte męstwo
Dodaje mięśniom sił . . .
Dla Ciebie Polsko! . . . Już metowy słup! . . .
Przerywa taśmę! . . . Zwycięstwo! . . . Zwycięstwo!

NIECH SIĘ MIŁOŚĆ ŚWIĘCI

Dziś niechaj wre zabawa, jeszcze czas na smutki!
W taneczny wir muzyka niech unosi pary!
Miłosnych drgnień nie brońcie—karnawał tak krótki.
Niechaj łączą się usta; serc stęsknionych żary
Niech rozpalą się w jedno ogromne ognisko
I świat cały ogarną! Namiętnemi usty
Słodycz pijcie z tej czary, która dziś jest blisko,
Bo jeszcze nam nie bronią, jeszcze dziś Zapusty!
Dziś, jutro nam wesele, radość dozwolona;
Więc w kim serce gorące i nadzieja żyje,
Niech tę którą ukochał, przyciska do łona —
Gdy serc dwoje przy sobie w takt miłości bije,
Niema grzechu, nie może być przeto pokuty,
Tam, gdzie winy nie było. Glob ziemski się kręci
Tym szlakiem, co z miłości czystej jest wysnuty.
Więc póki jeszcze wolno—Niech się Miłość święci.

MAJ NASTAŁ

Maj nastał — uśmiechnięty, wonny, jasno-złoty.
Zakwitną bzy, obudzą się w sercu tęsknoty
I w uścisku miłosnym znów się splotą dłonie,
Kiedy w wieczór majowy odurzą nas wonie
Jaśminów rozkwitnionych dokoła altany.
A gdy w parkach ustroją się kwieciem kasztany,
Gdy zapadnie noc cicha, jasna, księżycowa,
Popłynie zwierzeń cudnych kaskada tęczowa,
Tak słodka, jak tych kwiatów delikatne wonie —
Nachylą się ku sobie pulsujące skronie,
Przyciągane bezwiednie sił tajemnych czarem,
Że gdy dotkną się wreszcie, aż parzą krwi żarem
I tylko noc majowa chłodem swoim studzi
Ten wybuch, co się w sercach rozpalonych budzi.
A kiedy z końcem maja wieczór przyjdzie parny,
Od woni wszystkich roślin kwitnących ciężarny,
Konwalji słodki zapach kiedy nas dolata,
Budzi się miłość wielka do całego świata,
Drżą serca w upojeniu i myśli się plączą,
Aż w cichym pocałunku usta się połączą.

MALWY KWITNĄ

Malwy kwitną . . . Wspomnienia biegną wstecz w te strony,
Kędy dom stał rodzinny płotem ogrodzony,
A wzdłuż płotu, przed frontem wysokim szeregiem
Stały malwy kwitnące — jedne jakby śniegiem
Obsypane, tak kwiaty były czysto białe —
Inne jak w krwi gorącej wykąpane całe,
Tak jaskrawą ich czerwień, inne znów złotawe.
Szedł kolor malw kwitnących przez całą oktawę
Barw różnych i w półtonach znaczył się obficie . . .
Pamiętam — w dom rodzinny wracałem o świcie
Na wakacje. Bryczuszka zaprzęgnięta w konie
Wiodła mnie przez błyszczące srebrną rosą błonie
Drogą, co się tak cudnie brzegiem rzeczki wije.
A serce coraz mocniej, niecierpliwiej bije. —
Jak chciało się wyskoczyć i pobiec przed końmi
W próg domu, gdzie przyciśnie mnie drżącemi dłońmi
Matula ukochana, stęskniona do syna . . .
Pamiętam . . . Wczesną była poranna godzina,
Gdy parskając wesoło, stanęły bułanki
Przed płotem. Dom na froncie miał dwa małe ganki.
Na jednym, gdym powracał, zawsze matka stała
I serdecznym uściskiem pierwsza mnie witała.
Gdy malwy kwitły w czerwcu, to przed moim wzrokiem
Zasłaniały ów ganek. Choć nie mogłem okiem
Przebić tę różnobarwną malwową gęstwinę,
Wiedziałem, że tam czeka to serce matczyne,
Co nigdy nie zawiedzie . . . Pamiętam, przed laty.
Malwy kwitną — ot takie proste, wiejskie kwiaty,
Lecz dla mnie stokroć milsze niźli orchideje,
Bo mi się malwa jak to dziewczę polskie śmieje
Barwnością zdrową, czystą, bo malwowe płatki
Przywodzą mi na pamięć postać drogiej matki.

Kłaniają Się Kłosy Na Łanie

Czy wiecie, że już żyto w pełnych kłosach stoi?
Wczoraj byłem na farmach, gdzie znajomi moi
Gospodarstwem się trudzą. Widziałem pszenicę
Wykłoszoną na łanie i dziwną tęsknicę
Uczułem zaraz w sercu. Wspomnienia nadbiegły
Z lat dawnych, przed oczyma z uporem zaległy
I wpraszały się w myśli . . . Wstały w sercu żale . . .
Rozległe pole szumi jakby morskie fale,
Kołysane leciuchnym powiewem wietrzyka,
Który ledwie po wierzchu tchnieniem swem dotyka,
Pieszcząc tylko, nie chłoszcząc. Każdy kłos się kłania
I szepce coś cichutko, jakby dziękowania
Za te słońca promienie, za tę rosę z nieba,
Za to, że je tak bujnie wykarmiła gleba—
Za wszystko . . . Gdy tak stoisz przy zbożowym łanie
I w twojej piersi również wstaje dziękowanie,
Że wolno ci podziwiać te cudne widoki,
Ten łan zboża rozległy, długi i szeroki,
Te sady, łąki, pola i zielone lasy,
Naturę tak powabną, jak ta pełna krasy
Dziewoja, której miłość kochanek wyznaje.
Można wiele zapomnieć, lecz to pozostaje
Do końca w twej pamięci—ukochanie ziemi.
Dlatego tak ją wielbię poezjami swemi.

Szczęść Wam Boże

Choć idę do ogrodu, zanim słońce świta,
Już mnie sąsiad z za płotu tak po polsku wita:
Dzień dobry! Powodzenia w pracy! Szczęść wam Boże!
Et, tam dla mnie dzień dzisiaj dobrym być nie może,
Bo ledwie z za chmur błysnął promyk słonka złoty,
Oplotły myśl zmęczoną smutki i kłopoty,
Codzienne towarzyszki od pewnego czasu.
Ha, trudno. Dla jednego suknia jest z atłasu,
Drugiemu zgrzebne płótno losem jest pisane . . .
Więc chociaż z snu ciężkiego ranną porą wstanę,
Pogodnie w przyszłość patrzę mimo zmartwień kroci.
Brzeg chmury najczarniejszej jeszcze promień złoci
I mówi mową słońca, że za chmur pokryciem
Świat piękny wciąż istnieje i śmieje się życiem.
Dlatego, choć mi kłopot dziś zwiastują zorze,
Za przykładem sąsiada życzę wam—Szczęść Boże!

I NIGDY NIE ZGINIE...

Gdy naród siły skupia w wielkim czynie,
Czyn trwa przez wieki i nigdy nie zginie . . .
Ileż to razy, gdy przyszło zwątpienie
Nam, cośmy zdala od ojczystej ziemi
W udręce ciężkiej pędzili istnienie,
Święto Majowe wspomnieniami swemi
Krzepiło serca, dodawało wiary,
Że Polska wstanie do owej Wolności,
Którą przed laty uchwalał Sejm stary,
Dla szczęścia wszystkich i w imię równości . . .
Na obcej ziemi, nieraz przez rok cały
Trwaliśmy w waśniach, rozdarci, skłóceni,
Lecz w imię Polski gdy hasła zabrzmiały,
W dzień Trzeci Maja, znowu pogodzeni
Szliśmy pod sztandar. Stawał lud gromadnie,
Ślubując szczerze, że nie zdradzi sprawy,
Że gdy wezwanie ostateczne padnie,
Pójdzie krew przelać . . . I był los łaskawy,
Bo przyszło hasło, przyszedł Czyn i męstwo,
Poprzez ofiary największe wytrwanie,
Przez krew przelaną chwała i Zwycięstwo,
A potem Polski Wolnej Zmartwychwstanie!

W Obronie Honoru

Bacz, aby twoje słowo wartość złota miało.
Kiedy słowo honoru kiedyś się już dało,
Obowiązkiem człowieka dotrzymać je wszędzie,
Bo honor własny wartość niech ma w pierwszym rzędzie.
Cóż wart ten, który na wiatr puszcza przyrzeczenia?
Chociaż wszystko dookoła ciebie dziś się zmienia,
Słowo twe niewzruszone niechaj trwa do końca,
Bo tylko tyś honoru swojego obrońca,
A gdy sam bronić nie chcesz, to inni z ochotą
Cześć twoją zaczną deptać i wepchną ją w błoto.

Gdy Usta Otworzyła Swoje...

*Cudną była. Bił od niej jakiś dziwny czar,
Nie śmiałem zrazu przemówić ni słowa.
Figury pozazdrościć mogła jej królowa,
W sercu nieciła żar.
Gdyś spojrzał w oczy, to czarne ich głębie
W niewolę brały cię.
Myślałem—serce w niej pewnie gołębie,
Dobrocią tylko tchnie.
I cały zamieniłem się w ciche spojrzenie,
Nie mogąc znaleźć słów
Na cudu jej piękności godne określenie. —
Spojrzała na mnie znów,
Ledwie musła mnie wzrokiem, ale taka siła
W tem spojrzeniu jej oczu przepotężna była,
Że czułem, jak krew wre,
W skroniach jak młotem rozpętana wali,
Miłosnym żarem pierś stęsknioną pali,
W władanie bierze swe.*

*Rozmodliły się oczy moje i w zachwycie
Paść chciałem jej do nóg.
Tak u jej kolan przetrwać całe życie
Najpokorniejszym z sług.
Niechby mi tylko w swojej łaskawości
Napawać dała wzrok
Promienną swą postacią, cudem swej piękności,
Dzień w dzień, przez cały rok . . .
A ona, widząc, jak zdumiony stoję,
Przymknęła oczy powiekami swoje—
Dziwny mnie przejął lęk.
Czekałem drżący i blady jak chusta.
Wtem widzę—otworzyła karminowe usta . . .
Mowy jej zabrzmiał dźwięk . . .
I prysnął czar, jak pryska ta bańka mydlana,
Co leci z wiatrem w dal.
Spojrzałem—i nie była już taka świetlana.
Było mi czegoś żal.*

MUSI BYĆ LEPIEJ

*Płaczesz? Niech płyną ciche, czyste łzy.
Nie znałbyś szczęścia, gdyby łez nie było.
Gdy inny płacze, znów się śmiejsz ty.
Przeminie smutek—jak się cieszyć miło.*

*Jak lekko sercu, gdy przeminął żal;
Jaśniejszym zda się nawet promień słońca;
Z większą pewnością wzrok zapuszczasz w dal.
Smutek nie może przecie trwać bez końca.*

*Ból serce szarpie, myśli trwoży lęk?
Daj odpór twardy i wciąż miej nadzieję;
Gdy ból przeminie, kiedy ścichnie jęk,
Pogodna przyszłość znowu zajaśnieje.*

*Grzbiet ci się garbi pod ciężarem burz,
Nędza wyssała ci do szpiku kości?
Swym ideałom dalej wiernie służ—
Kto wytrwa, temu zwycięstwo w przyszłości.*

*Tylko nie spodlej wśród tych ciężkich prób!
Honor na pierwszym niechaj będzie planie,
Chociażby nawet przyszła śmierć i grób—
Uczciwa pamięć po tobie zostanie.*

NIE PŁACZ...

*Nie płacz, choć przyszło straszliwe rozstanie!
Wszystko się kończy na ziemskim padole —
Najgorsze nawet cierpienia i bóle —
Na wieki jednak zostaje kochanie.*

*A gdy tak mocno ktoś kocha człowieka,
Że całe serce oddał mu w kochaniu,
To chociaż cierpi i płacze w rozstaniu,
Niech wie, że człowiek ten na niego czeka.*

*Może na ziemi nie będzie złączenia,
Lecz tam, gdzie tylko myśl człowieka sięga,
Skąd nas odgradza Styksu czarna wstęga,
Staną znów razem ramię do ramienia.*

*Miłość ich znowu sprowadzi ku sobie,
Więc nie rozpaczaj w godzinę rozstania,
Że kres już nastał twego ukochania,
Że się skończyło wszystko w ciemnym grobie.*

*Nie płacz! To tylko smutne intermezzo
W pieśni, co serca harmonijnie pieją,
Że znów Go ujrzysz, pociesz się nadzieją
Czeka tam ciebie, kędy gwiazdy świecą!*

IRYS — KOBIETA

Irysy kwitną i tyle odcieni
W barwach tych kwiatów przepysznie się mieni,
Że słów ci braknie na ich określenie.
Ten jasno żółty, że aż razi oczy.
Inny, gdy płatki kwiatowe roztoczy,
Wszystkie kolory nieba w siebie wchłania,
Jakby cię zmusić chciał do podziwiania.
A są i takie, co są jak śnieg białe,
Inne w fjolety wystrojone całe.
Tamte różowe, jak jutrzenka ranna,
Jak poraz pierwszy całowana panna,
Gdy od wzruszenia cudnie się rumieni.
Zaś są i takie, co kilka odcieni
W płatkach swych mają sharmonizowane,
Jakby artysty ręką malowane . . .
Irysy kwitną—kiedy patrzę na nie,
Dziwne nasuwa mi się porównanie:
Irys kobietę piękną przypomina.
Kiedy do słońca płatki swe rozpina,
Tak delikatny, jak dziewicze łono
Lekko dyszące za tjulów zasłoną.
Kiedy wieczorna pora ogród mroczy,
Irys niebieski to jak owe oczy
Mgłą zachodzące w żarnem miłowaniu.
Patrzysz na kwiaty o rannem świtaniu,
Skąpane w rosie, świeże i pachnące,
Przypominają te oczy płaczące
Z tęsknoty za kimś, co jest wart kochania.
Zawieje wietrzyk—każdy kwiat się skłania
W stronę, na którą prąd wiatru je zgina
I to kobietę również przypomina . . .
Irysy kwitną—takie krótkotrwałe—
Niebieskie, żółte, fjoletowe, białe,
Sto barw przeróżnych—w jeden kwiat zebrane—
Tak jak kobiety, przez świat podziwiane.

Przez Was i Dla Was Wszystko

Żeby nie wy, kobiety, nie te wasze usta,
Których tak ród nasz męski pożąda łakomie,
Jakąby dookoła ziemia była pusta,
Jak nędznym i jak nudnym świat w swoim ogromie.
Prawda—przez was łzy płyną i krew nieraz płynie,
Przez was zdrada i zbrodnia straszliwa się zlęgła,
Lecz rozgrzeszam was z tego, wcale was nie winię,
Bo wyście tym filarem, co stojąc u węgła
Najwznioślejszej ze wszystkich świątyni miłości,
Źródłem piękna jesteście, celem upragnienia,
Darem nieba, wyrazem ziemskiej szczęśliwości,
I koroną wszystkiego na świecie stworzenia.
Ród męski rządzi światem? Przyszłe kowa dzieje?
Cywilizacja może męską jest zasługą?
Tak twierdzą tylko głupcy. Ja się z tego śmieję.
Gdyby kobiet nie było, to pytam—jak długo
Ród męski mógłby istnieć w tem swojem królestwie?
Dla kogo te wysiłki, przez kogo podniety,
Przed kim się korzysz mężu w całem swem jestestwie?
Jeśli nie przed ołtarzem kochanej kobiety?
Mężczyzna głową świata, rodzaju ludzkiego?
Zgadzam się z tem twierdzeniem, lecz miejcie w pamięci,
Że jeśli on jest głową, no to i cóż z tego,
Gdy kobieta tą szyją, która głową kręci!

Z WYSTAWY KWIATÓW

Z sercem zbolałem od smutku i chorem
Wystawę kwiatów zwiedziłem wieczorem
I cud się spełnił — byłem uzdrowiony.
Jaki tam przepych barw był zgromadzony!
Co za przedziwne kształty, aromaty —
To nie rośliny, lecz wprost poematy,
Zjawy cudowne wyśnione w ekstazie,
Możliwe chyba w rajskim krajobrazie,
Nie tu na ziemi, której śmiertelnika
Stopa tak szorstko i twardo dotyka,
Że wprost nie wierzysz, iż ta sama ziemia
Kwiat taki wyda, co duszę oniemia,
Gdy się go widzi i usty dotyka.
Widziałem okaz rzadkiego storczyka,
Co delikatne płatki swe rozchyla —
Raczej podobny kształtem do motyla,
Jednak piękniejszy. Lilje, tulipany,
Złotogłów pyszną barwą nakrapiany,
Hjacenty, które wprost duszą swą wonią,
Kaktusy, które cerwienią się płonią,
Palmy, akacje, cynerarji kiście,
Róż cudnych płatki i fikusów liście,
Tysiąc barw różnych, sto tysięcy woni,
Lecz do żadnego nie wyciągłem dłoni
Z taką miłością i z takim zapałem,
Jak do kwiatuszka, co swem oczkiem małem,
Niebieściuteńkiem jak niebo majowe
Zaśmiał się do mnie, gdym nachylił głowę,
Przypadkiem patrząc pod te krzaki bzowe,
Których tam pełno — prawda to, czy bajka?
Śmiała się do mnie — niezapominajka.

STALOWE PTAKI

Stalowe ptaki obsiadły lotnisko . . .
Coraz się któryś w lot wzbija z warkotem,
Chwilę unosi się nad ziemią nisko . . .
Sądzisz — zbyt ciężki, ale wkrótce potem
Już wśród obłoków z wiatrem gna w wyścigi . . .
Wyprzedza wiatry, zostawia je w tyle,
W atomy miażdży je waleniem śmigi,
Rozbija chmury i w skłębionym pyle
Przez mgnienie oka całkiem się zanurza,
By zaraz potem na czyste przestrzenie
Wypłynąć znagła. Hen już za nim burza,
Przed nim złociste słoneczne promienie
I droga wolna — przebojem zdobyta.
Ptak syt tryumfu teraz pęd wstrzymuje,
Zawraca z miejsca, wiatr skrzydłami chwyta,
Jak strzała z łuku ku ziemi szybuje,
Lśniąc się, jak owa spadająca gwiazda.
Piersią w pierś runął na wiatry dyszące
I z dumą wraca do swojego gniazda.
Siadł — wnet witają go głosów tysiące . . .
Jeszcze nie zcichły rozedrgane fale
Skrzydłami ptaka bitej atmosfery,
Gdy już się inny porwał w całej chwale.
Potem dwa inne, potem znowu cztery,
Dziesiątki całe w górę lecą z szumem,
Aż zaroiło się w powietrznej mgławie.
Lotnisko ludzkim zawalone tłumem,
Na samolotów dorocznej wystawie.

Sztandary Na Mogile

Tym, co odeszli, co snem nieprzespanym
Zasnęli cicho, święto dziś pisane.
Leżą pod wzgórkiem z ziemi usypanym—
Gromady ludzkie, znane i nieznane.
Każdy z nich kiedyś czuł, działał i kochał,
Walczył i cierpiał, lub zadawał rany,
Cieszył się, śpiewał—lub rozpacznie szlochał.
A dzisiaj leży piachem przysypany,
Cichutko. Nad nim życie głośno huczy—
On nic nie słyszy, śpiąc u stóp kamienia
I tylko robak szczątkami się tuczy
I tylko po nim zostały wspomnienia . . .

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Kochał i działał tak, że w oczach ludzi
Dotąd się jeszcze łezka żalu kręci,
A w sercu wdzięczne wspomnienie się budzi—
I imię jego wciąż w ludzkiej pamięci.
Choć go kamienna płyta dawno kryje,
Miasto umarłych choć go przygarnęło,
W pamięci żywych wciąż chwalebnie żyje,
Bo nie umiera z mistrzem dobre dzieło . . .

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Cmentarne pole, na niem grób przy grobie,
Na straży mogił stoją krzyże białe,
Lecz dzień dzisiejszy nie dany żałobie.
Dziś nam opiewać trzeba zmarłych chwałę,
Wzniosłość poświęceń, wielkość ich ofiary.
Najpierw tych, którzy krwi swej nie szczędzili,
Z życia własnego chętnie niosąc dary,
By inni wolni i szczęśliwsi żyli.
Przed tymi najpierw pochylić nam głowy
I cześć oddając chwale ich imienia,
Groby ich strójmy w Sztandar Narodowy—
Dla nich Pierwszeństwo w Dzień Grobów
Wieńczenia!

Lubię Gdy Burza...

Lubię gdy burza na skrzydłach wichury
Z północnej strony na Karpaty spada
I gęstym deszczem sieją z niebios chmury.
Wicher mi wówczas o Bałtyku gada.
O tych kaszubach hen gdzieś na okręcie,
Co walczą z falą pod orlą banderą,
Nieustępliwi w najgorszym odmęcie.
Wicher mi śpiewa taką gadkę szczerą,
Że rad ją słuchasz, lubując się w śpiewie
Burzy, co lasem dookoła targa,
Część zwierzeń w każdem zostawiając drzewie,
Że każdy liść jest jak mówiąca warga. —
Lubię gdy krople dżdżu tak gęsto sieką,
Że jednej nitki suchej nie zostaje—
Kiedyś te krople w morze poszły rzeką,
A teraz morze w deszczu je oddaje
W dowód łączności, która od praczasów
Trwa między morzem i ziemią piastową . . .
W poświstach burzy i poszumie lasów
Podziwiam wówczas Symfonję Wichrową.

DYMEK Z PAPIEROSA

*Rzuć tego papierosa—on ci nie do twarzy.
Gdy go palisz namiętnie i mocno się żarzy,
Przyćmiewa blask twych oczu, co jak gwiazdy
lśniące
Pociągają w swą otchłań, czarne, tak marzące,
Słodkie w cichem spojrzeniu. Ust twoich korale
Do dymu papierosa nie stworzone wcale,
Lecz poto, by je inne usta całowały.
Snuje się z papierosa dym niebiesko-biały,
Zakrywa mi twą postać, w taką obcą zmienia . . .
Dlaczego w nędznym dymie szukasz odurzenia?
Tyle podniet piękniejszych dookoła czeka—
Najpierw szałów miłosnych rozhukana rzeka,*

*Potem tryumf władania nad tych serc gromadą,
Co się wiernopoddańczo do stóp twoich kładą,
Byś je deptać bezkarnie mogła tysiącami.
Szczęśliwe, że je dotknąć raczyłaś stopami.
Pomyśl—płoną te serca na kształt kadzielnicy,
Stojącej przed ołtarzem pogańskiej świątnicy,
Którą na cześć Wenery wykuto w marmurze.
W dymie tych serc płonących, jak w kadzielnej
chmurze,
Możesz chodzić skąpana, ciągle pożądana,
Jak Jutrzenka, z mgieł rannych gdy wschodzi
różana,
Jak poranek majowy, błyszczący od rosy . . .
Więc powiedz—czy potrzebne tobie papierosy?*

Skąd Upałów Przyczyna

*Lecą z słońca na ziemię płomieniste żary,
I dyszy nasza ziemia pod słońca spojrzeniem,
Lecz niechaj nikt przypadkiem nie da temu wiary,
Że słońce chce ją spalić, zniszczyć swojem tchnie-
niem.
Nie, ono tylko wielką miłością się pali,
Od wieków rozkochane w wybrance swej ziemi,
Wciąż tęskniąc do kochanki wirującej w dali,
Która wabi rozkosznie je wdziękami swemi.
A ziemia również w słońcu złotem rozkochana,
Wciąż spieszy się ku niemu, chce mu wpaść w ra-
miona,*

*Gdy wita ją stęsknione codzień wcześnie zrana,
Lub żegna, gdy wieczorna zorza zapalona.
Oboje zawieszeni w przestrzeni bez końca,
Kochanek-słońce żarem miłości goreje,
A ziemia, wciąż wpatrzona w złocistą twarz słońca,
Że wreszcie z nim się złączy, wciąż żywi nadzieję.
I płoną tak miłością wzajemną ku sobie,
Czem bardziej są zdaleka, w lipcowym miesiącu.
Dlatego też upały są na ziemskim globie—
Słońce kocha się w ziemi, ziemia zaś we słońcu.*

UPRZEJMOŚĆ

*Nie wstydź się tej iskierki, która w oku błyska,
Gdy spotykasz osobę, co sercu jest bliska.
Sercem się często rządź—
Uprzejmy z ludźmi bądź—
Bo kiedy uprzejmości uśmiech z twarzy tryska,
Serca ku tobie lgną,
Przyciągasz mocą swą
I przyjaciół dookoła szereg się zaciska.*

*A kiedy groźnym marsem przyozdobisz czoło,
Odpychasz, zrażasz sobie stronników wokoło.
Wszak cię na uśmiech stać!
Takim cię będą znać,
Jakim cię widzą. — Śmiejesz się wesoło—
Dookoła śmieją się,
Sercem witają cię.
Gdy spokój w duszy—to i jasne czoło.*

*Uprzejmość nawet wroga rozbroić gotowa.
Gdy płyną przy spotkaniu ciepłe, miłe słowa,
Wnet oddźwięk znajdą swój.
Rodzi się myśli zdrój,
Które każdy zazdrośnie na dnie serca chowa,
A tylko w świat je śle,
Gdy grzecznym widzi cię. —
Z uprzejmych słów niech składa się twoja rozmowa.*

ŻYTO KWITNIE

Śnią mi się polskie łany — szumi kłosem pole,
Falując jak ten Bałtyk wiatrem całowany.
Koniec czerwca — wśród żyta bławaty, kąkole,
Krwawe maki. Jak obrus cudnie haftowany
Rozkłada się to pole przed oczyma duszy.
Idę miedzą a zboże do nóg mi się kłania —
Każdy kłos złotym pyłem pod stopy mi prószy
I słyszę coś jak gdyby modlitwy szeptania
Płynące od tych kłosów. Teraz kwitnie żyto
I cały łan w ekstazie zapładniania dyszy,
Okryty górą, jakby mgiełką złotolitą
Tych pyłków, które lecą w południa pół-ciszy,
Upojone miłością roślinnego świata
Jak łan długi, szeroki, od kłosa do kłosa,
Wypieszczone oddechem gorącego lata . . .
Zielone jeszcze kłosy, jeszcze czeka kosa,
Sierp jeszcze odpoczywa, lecz wnet barwę siwą
Zmienią te do stóp moich źdźbła się kłaniające,
Dojrzeje ziarno w kłosach i nastąpi żniwo . . .
Śnią mi się polskie łany kwiatami pachnące.

ILE ONA MNIE KOSZTUJE

Wiosna do mnie się śmieje, jak dzieciak radośnie
I czyż się dziwić można, że piszę o wiośnie,
Śnię o niej każdej nocy i myślę codziennie?
Co tylko czynię teraz, muszę nieodmiennie
W związku z wiosną to robić! I tak—drą się buty—
Ja daję naprawić samochód popsuty.
Ubranie wyświechtane odmawia usługi—
Kupuję tuzin drzewek jeden, potem drugi.
Kapelusz mam wymięty, taki poplamiony,
Że wstyd go kłaść na głowę w towarzystwie żony—
Ja krzaki róż kupuję i przeróżne kwiaty.
Krawatki mi potrzeba—lecz bardziej łopaty—
Więc niedługo iść trzeba będzie w ślad Witosa.
Gdy zgubiłem ostatnią mą chustkę do nosa,
Spostrzegłem, że w ogrodzie mym bratków brakuje
Czyż przeto nos wygody takiej potrzebuje?
Dla mnie wiosna natchnieniem—oby wiecznie trwała.
Ale gdyby naprawdę bez przerwy trwać miała,
Chodziłbym w takim stroju, jak w raju chadzali
Adam z Ewą, nim jabłka tego spróbowali.

TYŚ NAS NAUCZYŁ

Tadeuszowi Kościuszce w rocznicę urodzin

Hetmanem byłeś, wiodłeś w bój
I dał Ci naród miano Naczelnika!
Dziś niema Cię, lecz zapał Twój
Jak płomień serca nam przenika,
Do czynu wiedzie nas Twój wzór.
Hetmanie, Wodzu Ty w sukmanie—
Byłeś jak orzeł pośród chmur,
Co w słońcu chodzić nie przestanie,
Póki mu w piersiach stanie tchu.
Dziś pod Wawelską śpiesz świątynią,
A gdy spoczywasz pośród snu,
Bracia Ci Twoi śluby czynią—
Chcemy w Twój, Wodzu, wstąpić ślad
Jak Ty kochałeś, kochać tak,
Nie zwątpić mimo klęsk i zdrad,
A srebrnopióry polski ptak,
Niechaj nam będzie tu za świadka,
Że tak wytrwamy do ostatka,
Jako Tyś wytrwał, Wodzu nasz.
Hetmanem byłeś, wiejski lud
Nadał Ci miano Naczelnika,
Boś Ty ten pierwszy sprawił cud
Że się chłop z panem w służbie styka,
Dla jednej sprawy niosąc dań—
Dla Polski życie swe w ofierze.
Wodzu! Znów w sercach naszych stań
I osłoń serca te w puklerze,
Przez które zdrada nie przenika.
Niechaj nam świętym jest wzór Twój!
Hetmanem byłeś, wiodłeś w bój,
I dał Ci naród miano Naczelnika!

4-TY LIPCA

Czwarty Lipca! Wolnego człowieka to święto!
Na wolnej ziemi z chwały je ongiś poczęto
I dzień ten stał się świętem tutejszej ziemicy.
Jednak dzisiaj stanowczo już niema różnicy
Z jakiej ziemi pochodzisz, jaką twoja mowa,
Jeśli miłość wolności serce twoje chowa,
Czwarty Lipca dla ciebie również święto wielkie —
Bo wolność czcić powinny dziś narody wszelkie
Bez względu gdzie się ona najpierw narodziła.
W wolności szczęście świata, w niej narodów siła
W niej przyszłość jest ludzkości, więc w dzień tego święta
Niech świat cały o twórcach wolności pamięta,
O twórcach Deklaracji, która wolność dała
Czwarty Lipca niech święci dzisiaj ziemia cała,
Aby wreszcie w przyszłości wszyscy wolni byli —
Niech żyje pamięć mężów co wolność tworzyli.

CZY PAMIĘTASZ?

Czy pamiętasz, jak przed laty
Wybiegałeś z ojców chaty
W ten marcowy czas?
Jak błądziłeś pośród gaju,
Hen po łąkach, przy ruczaju,
Jak cię wołał las wioskowy,
Jak cię wabił las?

Czy pamiętasz serca bicie,
Gdyś wymykał się tak skrycie
Znaleźć pierwszy kwiat?
Te śnieżyczki na ugorze,
Te przylaszczki w głuchym borze?
Tyle przeszło lat w tułaczce,
Tyle długich lat!

Czy pamiętasz, jak to kwiecie
Niosłeś w dani tej, co w świecie
Wszystkiem była ci?
Jak się cudnie twarz płoniła,
Gdy ci ust swych nie broniła?
Pamiętasz te dni wiośniane
Te marcowe dni?

Chciałbyś wrócić w tamte strony?
Czas przekreślić upłyniony,
Znowu chłopcem być wśród swoich,
Na swej ziemi żyć?
Hej, nie wróci młodość złota . . .
Pozostały żal, tęsknota.
Tylko można śnić wspomnienia,
Tylko można śnić . . .

PÓJDŹMY W GAJ

Rozkwiecony pachnie wiosną,
Lśni się słońcem Maj.
Gdzie nad rzeką drzewa rosną,
Pójdź wraz ze mną w gaj.

Powiodę cię ponad brzegiem
Czystych, rwących wód,
Które wartkim, ciągłym biegiem
Płyną hen na wschód.

Będę prosił w upojeniu —
"Ust mi swoich daj!"
Aż odczytam w Twem spojrzeniu:
"Bierz, gdy kwitnie Maj!"

Będę szeptał słowa żarne,
Co się z serca rwą,
Aż do piersi cię przygarnę
I nazwę cię swą.

Jutro święty dzień — niedziela.
Wiosna, cudny Maj . . .
Tam, gdzie kwiaty pośród ziela,
Pójdź wraz ze mną w gaj!

Promienna Pora Przed Nami

A oto dzisiaj zimy dzień ostatni . . .
Lecz ktoby wierzył słowom kalendarza
I letni ubiór chciał wydobyć z szatni,
Głupi — lecz niech się za to nie obraża.
Marzec nam tyle niespodzianek chowa,
I kwiecień znany z swojej jest przekory —
Niejedna burza czeka nas śniegowa,
Nieraz na katar będziesz jeszcze chory.
Nie jedną tonnę spalisz węgla człecze
I nie tak prędko pozbędziesz się futra,
Zanim wiosenne słoneczko przypiecze —
Więc wiosennego nie wyczekuj jutra.
Lecz nie trać wiary, bo chociaż spóźniona,
Przyjdzie napewno tą rzeczy koleją —
Ona, promienna, wonna, upragniona,
I znów nam szczęściem oczy się zaśmieją,
W sercach się miłość namiętna rozpali.
Zawita wiosna, choć jeszcze w oddali . . .

Szumi Wiąz Gałązkami

Znam jeden wiąz, co rośnie przy zamiejskiej drodze,
Niedaleko odemnie. Rozrośnięty srodze,
Rozkłada jak olbrzymi parasol konary,
Pewnie z dwieście lat liczy — potężny wiąz stary.
Setki burz przeszło nad nim, on wciąż zdrowy żyje;
Taka moc niespożyta z tego drzewa bije,
Że kiedy u stóp jego staję zachwycony,
Zaraz biegnie myśl moja w te litewskie strony,
Kędy starzy poganie święte dęby czcili,
Oddając im cześć boską. Nieraz w takiej chwili
I mnie bierze ochota bić drzewu pokłony,
Nieraz długi czas stoję przy nim zamyślony,
I słucham, co wiatr szepce w gałązkach wiązowych.
Kto w naturze się kocha, ten w poszeptach owych
Dosłucha się niezwykle zajmującej treści,
Która ucho i serce tajemniczo pieści,
W nieznany świat je wiodąc — jeśli czuć ktoś umie.
Lecz jak mało jest takich w szarym, ludzkim tłumie...
Słucham... Podmuch z północy zaszarpał konary
I szumi mocnym głosem, broniąc się, wiąz stary,
Że z walki moc się rodzi i wstaje hart ducha.
Dochodzi mowa wiązu do mojego ucha
I zaraz odporniejszym staję się na znoje...
Zawieje wiatr zachodni — wiąz gałęzie swoje
Napręża, że aż trzeszczą, jak olbrzyma kości,
I mówi mi swym szumem — to są przeciwności,
Które zwalczać się musi, chcąc mieć doświadczenie.
Dmie wicher; wiąz wpił w ziemię potężne korzenie;
Ni na włos nie ustąpi; ani jedna skarga
Nie leci z szumem drzewa, choć nim burza targa.
To tylko pieśń bojowa, którą śpiewa drzewo,
Walcząc z burzą, co targa na prawo, na lewo,
By ustąpić na końcu z wstydem — zwyciężona...
Gdy wiatrem pieści drzewo południowa strona,
Słyszysz słodką muzykę kościelnych organów:
Idzie echem od drzewa do zbożowych łanów,
Na łąki rozkwiecone, na kraj się rozlewa,
Cała ziemia wraz z drzewem unisono śpiewa...
Lecz dla mnie najcudniejsze są wiązu poszumy,
Gdy wiatr wschodni zawieje.—Wśród cichej zadumy
Godzinami wsłuchuję się w drzewa pogwary.
Chwyta wiąz ten wiatr wschodni w rozrosłe konary,
Przerzuca je w gałęzie jak na struny brzmiące
I gra cudna mi piosnkę o polu i łące,
O strumieniach karpackich, o sadach jabłoni,
O wsi polskiej, o leśnej nad Wisłą ustroni,
O tych miastach nad Sanem, nad Bugiem, nad Niemnem,
Śpiewa mi o dziewczynie, co swem okiem ciemnem
Wabiła mnie w młodości, a dziś zapomniana.
Od Polski wiatr ten wieje, więc dobrze mi znana
Harmonja tych poszumów, którą przez konary
Przesyła w serce moje poczciwy wiąz stary.

CO MI PRZYNOSISZ?

Przyniesiono list do mnie — ot leży na stole.
Lecz jeszcze go nie tknąłem; dotąd nie otwarty.
Nie spieszę się; zaczekać jeszcze chwilę wolę.
Kto wie, jaką wiadomość niosą jego karty?
Jeżeli jest w nim jaka radosna nowina,
To i tak się nacieszę, rozweselę serce.
Ileż to jednak razy smutek się zaczyna
Z tych krótkich słów, co w liście i dusza w rozterce,
Żal do świata i ludzi... Nieraz jak psów sfora
Tak gryzą słowa listu, że drąc go w kawały,
Chciałbyś, żeby w twych rękach zmienił się w autora.
Spokój ci list ten zepsuł i z gniewu drżysz cały...
Lecz nieraz jest list taki, iż w swej krótkiej treści
Bramę raju otwiera i ziszcza nadzieje,
Taki ogrom radości szczęsnej w sobie mieści,
Że każde słowo listu słońcem ci jaśnieje,
Zwiastunem jest odmiany na lepsze, na nowe.
I zaraz się jaśniejsza myśl pod czaszką budzi,
W pomysły układając się czyste a zdrowe —
Odżywa w sercu wiara do siebie, do ludzi...
Przyszedł list — nie otwarty wciąż leży na stole.
Co niesie, złe czy dobre? Zgadywać daremno.
Pismo nie jest mi znane, więc zaczekać wolę.
Przeczytam jutro — dzisiaj już i tak jest ciemno.

DWA SERCA

Były sobie dwa serca — jedno jak z kamienia,
Twarde, jakby lód zimne. Drugie miękkie było.
Pierwszego tak spokojne były uderzenia,
Jak tykanie zegara. Tylko sobie biło
To serce zimne, twarde. — Drugie serce zasię,
Choć nie biło tak równo w piersiowej komorze,
Tyle dziwnej energji miało w swym zapasie,
Że się mogło tak żarzyć, jak wieczorne zorze,
Tyle ciepła wydobyć z serdecznej swej głębi,
Że i wszystko dokoła przy niem się zagrzało...
Pierwsze serce w zetknięciu odstręcza i ziębi —
Drugie ciągnie ku sobie naturą swą całą.
Pierwsze jako stal mocne, władne, niewzruszone,
Tysiąc innych serc sobie przykuło w niewolę.
Drugie słabe i miękkie, lecz rozpłomienione,
Miljon innych przyciągnie, przytrzyma w swem kole
Miłością, nie przemocą i nawet to zdziała,
Że to pierwsze się stopi i również zapała.

CZAS PŁYNIE...

Tik, tak . . . cichutkie cykanie zegara.
Równiutko płynie czas.
Pociąga z sobą bezlitośnie nas,
Hen tam, gdzie przyszłość tajemnicza, szara,
Gdzie kres wszystkiego, co tu życiem drga,
Płyną dni, lata w tym rwącym strumieniu
Czasu, co wiecznie trwa;
Lecz życia bieg się kończy w oka mgnieniu;
Zabłyśnie, jak ta skra,
By zaraz zgasnąć; ledwie buchnie żarem,
Już się pęd jego rwie...
Siedzę tak nieraz cicho nad zegarem,
W szmer jego wsłucham się,
A myśl ma płynie gdzieś po czasu fali,
Przez wieki biegnąc wstecz,
Aż do zamierzchłej, zapomnianej dali,
W prastare dzieje precz.
Z powrotem płynie, czas wyściga w biegu,
Powraca do mnie znów,
A ja poznaję z tych wieków szeregu
Ubogość ludzkich głów.
Czas płynie — coraz to okres się zmienia —
Mijają chwile, dnie.
Tyle wciąż jeszcze jest do nauczenia,
A już się życie rwie.

KWIECIEŃ W POLSCE

Miesiąc Kwiecień. Skąd nazwa miesiąca, czy wiecie?
Zapewne. Przecież w Polsce rozwija się kwiecie!
W tym miesiącu już bielą się wiśniowe sady,
Śliwa na wiatr podaje kwiat zielono-blady;
Jak dziewicy twarzyczka jabłoń się rumieni,
A grusza, rozkwitniona wśród słońca promieni,
Widokiem przypomina swoim pannę młodą,
Gdy ją w biel przyodzianą do ołtarza wiodą.
Sad kwitnie, szerząc wkoło czarodziejskie wonie;
A dalej, kędy łąka i rozległe błonie,
Cała rzesza roślinna na wiosnę kwitnąca
Również nazwę konieczną daje dla miesiąca.
Tu jaskier złoto-żółty na rozmokłej łące,
Tu pierwiosnki jak włosy kochanki pachnące,
Stokrótek całe krocie przydatnych do wianka,
Tam rzeżucha i tasznik, tu znów macierzanka.
A z boku, pośród krzaków, gdzie strumyk szemrzący,
Ukryty cicho w trawie, nad wszystkie pachnący,
Fiołek kwitnie w tym czasie. — Czyż się dziwić mamy,
Że pierwszy miesiąc wiosny kwietniem nazywamy?

BUDZI SIĘ MIASTO...

Wcześnie miasto się budzi. Zanim wschodnia strona
Nasiąknie srebrną bielą — już prężą ramiona,
Napinają swe grzbiety nakształt drzewca łuku,
Ci, którym dana Praca. — Czeka już wśród huku,
Nerwowo drżąca, chciwa sił ludzkich fabryka...
Przebudziło się miasto, dreszcz ciało przenika
I słyszysz najwyraźniej, jak jakieś westchnienie
Jakby z piersi olbrzyma, mocne nieskończenie,
Podnosi się, dokoła nad miastem przebiegnie,
Załopoce na chwilę, a potem przylegnie
Hen gdzieś u bram niebieskich. Potem mącą głuszę
Coraz nowe odgłosy — dymów pióropusze
Wykwitają z kominów ponad dachów zręby
I walą tego dymu szaro-bure kłęby,
Jakby chcąc skryć tę nędzę, którą ujrzeć może
Najdokładniej, kto patrzy, o porannej porze...
Świt wstaje — wschód wziął teraz ton seledynowy,
Lecz zaraz wchłania w siebie jakby pył różowy
Coraz mocniej nim barwiąc czyste nieba skłony
I jakby cud się rodził tam od wschodniej strony,
Tyle barw i odcieni z sobą się kotłuje
W tem miejscu, kędy ziemia z niebem się całuje.

POLSKIE MORZE

Kiedy w nocną czarniawę pierwsze świtu blaski
Wsiąkają — nim się zorza poranna rozpali —
Bałtyk pieści miłośnie Helu szare piaski
I szepce im cichutko tajemnicę fali.
Polskie Morze i polskie na Helu Wybrzeże.
Taki nastrój poważny w tej rannej godzinie,
Że powiesz — Bałtyk z Helem odmawia pacierze
I z falą ta modlitwa aż do nieba płynie.

Południe. — Bałtyk cichy złoto w siebie chłonie,
Które słońce z hojnością rzuca w polskie morze.
A Hel w słodkiem omdleniu wsparł o Bałtyk skronie
I chłodzi żar miłosny. — Małżeńskie swe łoże
Tyle lat razem dzielą — a miłość nie chłodnie —
Na wieki połączeni, dobrani tak cudnie . . .
Słońce im wciąż weselne rozpala pochodnie. —
Polskie Morze, Hel polski — kwietniowe południe.

A kiedy na zachodzie płoną krwawe zorze,
Gdy z kątów wypełzają fjoletowe cienie,
W płaszcz z purpury się stroi nasze polskie morze,
I coraz to chmurniejsze ma Bałtyk spojrzenie.
Gniewa się, że mu nocka Hel kirem zasłoni,
Pierś wzdyma i rozgłośnie rozwodzi swe żale.
Jak kochanek kochankę przed porwaniem broni,
Rzucając w stronę nocy burzliwe swe fale.

Noc czarna. Skryte w mroku śpi polskie wybrzeże.
Bałtyku groźna fala coraz się wydłuża —
Tęsknota, gniew i zazdrość kolejno go bierze —
Wreszcie wybuch . . . Szaleje nad Bałtykiem burza.
Piętrzą się wściekłe fale ugrzywione pianą
I gniewać się tak będzie Bałtyk rozhukany.
Dopóki znów nie ujrzy w rozjaśnione rano
Powstający z mgieł białych Hel swój ukochany.

MYŚLI LUDZKIE

Żeby tak się musiało każdą myśl człowieka
Wydobyć hen z pod czaszki, bryznąć w oczy światu,
Napewno krwi przelanej płynęłaby rzeka
I nożem zaświeciłby pod gardłem brat bratu.
O, nieraz taka straszna myśl się w głowie lęże,
Że jad jej w serce wsiąka, duszę całą truje
I nie tak są szkodliwe jadowite węże,
Jak myśl owa, co mózg ją w tajemnicy snuje.

Lecz choćbyś chciał najgłębiej skryć tę myśl straszliwą,
Wyziera zdradnie z oka, co groźnie się żarzy,
Sączy się z ust, w grymasie zaciśniętych krzywo,
I poznać ją, że wstrętna, w skrzepłych rysach twarzy.
Więc gdy cię myśli takie opadną w czas próby,
Pędź je zaraz od siebie i strzeż się ich złości.
Sięgnij w serce, a ono ochroni od zguby,
Niecąc myśli jaśniejsze — zgody i miłości.

DZIŚ ŚWIĘTO MATKI

Dom cichy, wielki, a tak strasznie pusty . . .
Po izbach chodzi staruszka zgrzybiała,
Szepcąc modlitwę trzęsącemi usty.
Tyle już biedna próśb w niebo zasłała,
Tyle gorących zmówiła pacierzy . . .
Wciąż dom jej pusty . . . Pamięta, przed laty . . .
Inaczej było . . . Lecz ona wciąż wierzy,
Że wrócą . . . Wdziała dziś odświętne szaty . . .
Codzień tak wdziewa i z jednaką wiarą
Czeka cierpliwie — tak bardzo stęskniona,
Że ją przypomną i odwiedzą starą.
Ona przyciśnie ich do swego łona,
Przebaczy wszystkie łzy przez nich wylane
I gładzić będzie pomarszczoną dłonią,
Do serca cisnąć, te głowy kochane . . .
Pragnie tej chwili — a oczy łzy ronią.
. . . .

Hej, w świat odbiegły od gniazda pisklęta!
Zdaleka teraz, każde radzi sobie.
Daj zmiłowanie Matko Boża Święta!
Niech je zobaczy—toć jej własne dzieci . . .
Odbiegły matki, całkiem zapomniały . . .
Tyle lat przeszło, czas jak strzała leci,
Żeby choć czasem liścik krótki, mały,
Słów parę tylko, na dowód pamięci.
Dziś święto Matek — niech choć ten dzień w roku
Modlitwy matki wysłuchają Święci!
Skarży się biedna, łzy zabłysły w oku,
Ale choć oczy wyblakłe się łzawią,
Choć serce boli, szarpane tęsknotą —
Usta matczyne tylko błogosławią.
Bo serce matki czystsze jest nad złoto.

POLSKA WIGILJA

Niech pokój ludziom dobrej woli będzie
W świętą Wigilję, gdy w ciemnym błękicie
Gwiazdka najpierwsza jasność swą rozprzędzie
Dzisiaj wieczorem. Niechaj w wasze życie
Promienna radość wejdzie, niech się święci
Taką szczerością pełną szczęśliwości,
Jak w ziemi Polskiej za dawnej pamięci,
Gdy wśród rodziny za naszej młodości
Opłatek krążył z rąk ojca do matki,
Potem do dzieci i służby domowej,
A każdy składał wprost z serca płynące
Szczere życzenia w świętej chwili owej —
Padały słowa proste lecz gorące,
Pełne miłości . . . Niech i dziś tak będzie!
Wspomnijcie Polskę i rodzinną chatkę,
Tradycji zwyczaj u nas szanowany,
Siwego ojca i staruszkę matkę,
Ten stół bieluśkim obrusem zasłany,
Siano pachnące, choinkę zieloną
I tę gościnność, z której Polska słynie.
Pokojem niechaj tchnie dziś każde łono
W Wigilji polskiej natchnionej godzinie.
I niech ten nastrój wśród nas pozostanie,
Łącząc nas w zgodzie mocą niepojętą,
Przez miłość wspólną, wspólne pojednanie.
Noc Wigilijna to jest polskie święto!

JÓZEF PIŁSUDSKI

Tyś jak ten dąb olbrzymi w Białowieskiej puszczy,
Co zapuścił korzenie w żyzne łono ziemi,
A czoło, urągając wichrów wrogich tłuszczy,
W słońcu kąpie i strzeże gałęziami swemi
Drzew młodszych całe rzesze przed naporem burzy.
Tyś jest jak ta opoka z granitowej skały,
Która murom świątyni za fundament służy,
By mocne były zawsze i po wieki trwały.
A serce Twoje wielkie jak w Zygmunta Dzwonie,
Co na Wawelskiej wieży czuwa zawieszony,
A kiedy bije — słyszysz echo w własnem łonie —
Tak głos jego potężny w mocy swej, natchniony.
Myśl Twoja jak ten piorun w Jowiszowej dłoni.
Za miljon innych mózgów zdawna pracowała
Nad wykuciem z niczego wyzwoleńczej broni,
Gdy większość przed wysiłkiem walki się wzdrygała
I gnuśniała w niewoli . . . Tyś jak wichr pustynny,
Co gorącem swem tchnieniem w piasczyste podnoże
Uderza i porywa piach przedtem bezczynny
W górne sfery, wskazując, że tam słońce w górze . . .
Wyrosłeś ponad innych, tak wzniosły, tak wielki,
Że wielu z braci własnych nie rozumie Ciebie,
Jak te w konarach dębu kwilące wróbelki,
Szemrzące, że zasłania dąb słonko na niebie;
A nie wiedzą, że przecież przed burzą je chroni,
Gniazd strzeże i przed spieką użycza im cienia . . .
Koronę Chrobrych mógłbyś nosić na swej skroni,
Królewskiem berłem rządzić z losów przeznaczenia,
Aleś ty demokrację pojął głębiej, szczerzej —
Nie o władzę Ci chodzi, lecz by lud piastowy
Zrozumiał posłannictwo Polski święciej, szerzej.
I wiedziesz naród cały w okres dziejów nowy.
Hej, wielkiś Ty Piłsudski! Od Bogaś Ty dany!
Szczęśliw kto ideałom Twoim dzisiaj służy.
Tyś narodu polskiego Wódz nasz ukochany,
A imię Twe historja w sławie "wymarmurzy".

GDY CIEMNOŚĆ ZAPADA

Wieczorna pora — zachód krwawo płonie.
Z kątów wypełza mrok fjoletowawy,
Sączy się cicho, przylega na stronie,
Sił nabierając do walnej rozprawy
Z światłością dzienną, która coraz słabnie.
Siedzę w fotelu. Pieści mnie jedwabnie
Dotykiem swoim wieczorna godzina
I dziwów bezmiar przed okiem rozpina . . .
Mrok fjoletowe już porzucił szaty,
Szarawą płachtą cały się otoczy,
Lecz chwilę tylko taki niebogaty,
Bo gdy się skrzepił, wnet przed moje oczy
W czarny aksamit otulony stawa . . .
Bije od niego dokoła czarniawa,
Wypełnia pokój, w źrenice się sączy,
A potem z nocą za oknem się łączy
I razem ziemię biorą we władanie . . .
Siedzę w ciemności, myśl błądzi daleko,
Z radja cichutkie dochodzi mnie granie,
Jakby za siódmą górą, lasem, rzeką,
Ktoś grał mi bliski swojskiej pieśni tony.
Ciało tu siedzi, duch zaś w inne strony,
Tęsknotą gnany, o zmroku wędruje.
Inaczej wówczas myśli się i czuje,
Wieczorną porą, gdy mrok wszystko skrywa.
W wspomnieniach wszystko na nowo odżywa.

TYLE POKUS NA ŚWIECIE

Naznaczono mi wczoraj przygodne spotkanie —
Niewinne zresztą całkiem — wcale nie z kobietą.
A jednak przewlekało się zbytnio czekanie.
Starałem się czas zabić z początku gazetą,
Przeczytałem ją całą. Chcąc czegoś nowego,
Posłałem wzrok przed siebie. Sam nie wiem dlaczego,
Lecz oczy me wstrzymała sklepowa wystawa,
Taka sobie z obuwiem, wcale nie ciekawa —
Przynajmniej dla mnie wcale . . . Damskie pantofelki,
Pończoszki . . . był tam zresztą dobór dosyć wielki,
Lecz za to ni drobiny w tem dla mnie natchnienia.
Już miałem się odwrócić pełen zniechęcenia,
Wtem widzę dziewczę małe podchodzi do szyby,
Zapuszcza wzrok do okna obojętny niby,
A jednak się wstrzymuje — przegląda wystawę . . .
Ona oknem zajęta, ja oczy ciekawe
Zwróciłem na jej główkę, bacznie obserwuję.
Z pod skromnego kołpaczka blond lok wyskakuje,
Wiatr go pieści leciuchno; czoło marmurowe,
A pod niem patrzą oczy ogromne, chabrowe,
Lecz tak smutne, że jestem zdziwiony ogromnie,
Dziewczynka taka miła, i odziana skromnie,
Całość śliczna. Przed oknem jak zdrętwiała stoi.
Nagle szybko zajrzała do torebki swojej,
Potem na pantofelki rzuciła spojrzenie
I pierś młodą, dziewczęcą, podniosło westchnienie . . .
Chwilę jeszcze postała, potem zgrabnym ruchem
Niesforny loczek włosów zatknęła za uchem
I odchodzi, a główkę na dół ma spuszczoną . . .
Widziałem jej twarzyczkę łezkami zroszoną . . .

NAD PILICĄ

*Takbym chciał teraz przenieść się gdzieś nad Pilicę,
Szmat ziemi mieć swój własny, zrzucić tę tęsknicę,
Która wżarła się w serce — spokoju nie daje.
Chciałbym widzieć jak wieśniak pługiem ziemię kraje,
Wchłaniać w piersi ten zapach zoranego pola . . .
Chciałbym, żeby się nagle zmieniła ma dola,
Żebym wrócił . . . W dom mały, czysto pobielony,
Na pagórku niewielkim, w sadzie przytulony,
Z ogrodem, w którym malwy tysiącem kolorów
Wabią oko. — W wieś cichą w otoczeniu borów
Sosnowych, co tak cudnie pachną ci żywicą.
A rosną takie sosny, rosną nad Pilicą,
Zielone latem, zimą, rok cały zielone . . .
Chciałbym wrócić na wiosnę, w maju w tamtą stronę
I pozostać do końca lat moich szeregu.
Gospodarzyłbym sobie. A na drugim brzegu
Żeby osiadł przyjaciel mój, wierny w potrzebie.
Takby nam dobrze było razem obok siebie.
Zatęskniłbym do wspomnień tułaczej przeszłości —
Wsiadłbym w łódkę, do niego popłynąłbym w gości,
A gdyby on zatęsknił, przypłynąłby do mnie.
Płynęłyby dni nasze cicho, miło, skromnie
I kochałbym tę ziemię, lasy swe i pola.
Żeby to tak się nagle zmieniła nam dola . . .*

WYSTARCZY LACKIEJ KRWI

*Precz tam od Wisły, knechty, precz!
Korytarz wam się śni!
Ostatnia w życiu naszem rzecz,
Ostatnie w życiu dni,
Nim ustąpimy z naszych ziem...
Wystarczy lackiej krwi,
Dość mocy znajdziem w sercu swem,
By odpór dawać ci.
Precz stamtąd, niemcze. Ktoś ty zacz,
Że pchasz się na nasz ląd?
Byś z życiem uszedł, pilnie bacz.
My wrogów żeniem stąd.
Nie damy ziemi, skąd nasz ród,
My mowy bronim swej.
Wisła królową polskich wód
I nie odstąpim jej.*

*Polską zostanie w koniec lat,
Aż po ostatni wiek,
Choćby zaprzeczył cały świat
Tej najpiękniejszej z rzek.
Nie chcemy wojny, żal nam krwi,
Nie swojej jednak, nie.
Precz tam od Wisły, mówię ci,
Bo to się skończy źle.
Nic to, że waśnie dzielą nas.
Za Polski jeden cal,
Kiedy odporu przyjdzie czas,
To nakształt morskich fal
Wyruszy cały naród w bój,
Z hasłem — bij wroga, siecz!
I przyjdzie wówczas koniec twój.
Więc precz od Wisły, precz!*

BOŻE CIAŁO

Biją dzwony! W słonecznych promieni powodzi
Z otwartych bram świątyni procesja wychodzi —
Tłum ludzki w ciżbę zbity, świetnie kolorowy,
A z góry, na odkryte ludu tego głowy,

Pył złoty bezustannie błękit nieba sieje —
Że mieni się jak tęcza i w słońcu jaśnieje.
Na przodzie, ze skupieniem nabożnem na twarzy,
Ministranci — a świeca przed każdym się żarzy,

Pszczelnego wosku wkoło szerząc aromaty.
Za nimi szereg dzieci sypie z koszów kwiaty;
Dziewczątka w biel ubrane; idąc środkiem drogi,
Księdzu w kapie złocistej sypią je pod nogi.

Polne kwiaty, zerwane na łanie i łące,
Bławatki i rumianki, fiołki pachnące,
Bratki co najpiękniejsze, jaskry, maki krwawe,
Płatki róży i dzwonki leśne niebieskawe.

Wyściełają tem kwieciem przed procesją drogę,
A ksiądz kroczy z Monstrancją — co postawi nogę,
Świeże kwiaty się sypią, cudna woń dokoła . . .
Biją dzwony rozgłośnie hen z wieży kościoła,

Tłum śpiewa w uniesieniu, a słoneczko świeci
I po jego promieniach głos do nieba leci,
Trafia w bramę złocistą, potem przed tron Pana:
I musi być modlitwa taka wysłuchana.

W rynek idą, w ołtarze zdobny z każdej strony.
Chwieją się nad głowami ludu feretrony,
Baldachim kryje księdza przed słońca pożogą,
Kiedy kroczy z Monstrancją ukwieconą drogą

I śpiewa nazem z ludem nabożną litanję.
A skoro przed ołtarzem w pochodzie swym stanie,
Przyklęka, by mszy świętej dalszy ciąg odprawić,
Odczytać ustęp z mszału, lud pobłogosławić

I pójść przed inny ołtarz, wolno, uroczyście.
Cisza taka dokoła, że nawet drzew liście
Nie szemrzą — świat w modlitwie zatopiony cały.
Procesja idzie w słońcu. Tłum dziewczątek biały

Coraz to nowe sypie kwiaty z pola rwane,
Że wszystko dookoła kwieciem zasypane . . .
Biją dzwony — powietrze aż się rozedrgało . . .
Pamiętacie te chwile w Polsce? — Boże Ciało!

Ja Cię Tak Mało Znam

Chcesz, bym cię chwalił, wielbił piękność twoją?
Ja cię tak mało znam.
Sny mi się dziwne na ten temat roją.
Zdradzić je? — Nie wiem sam.
Możebyś potem, zamiast tej przyjaźni,
Nienawiść chciała dać.
Widzę cię nieraz w mojej wyobraźni —
Taką cię pragnę znać.
Bez sztucznej bieli, co tak buźkę kryje,
Że nie odczytasz z lic,
Czy w głębi piersi serce cieplej bije,
Czy też tam niema nic?

Śnisz mi się nieraz, lecz nie malowane
Są twoje usta w śnie,
Że gdy namiętnie są pocałowane,
Nie plamię farbą się.
I twarz bez różu pod pudru obsłoną,
Co bez słów powie ci,
Kiedy od wstydu rumieńce jej płoną,
A kiedy z gniewu drży.
Śnisz mi się taką. Ja cię błogosławię,
Dopóki we śnie trwam.
Lecz jak odmiennie widzę cię na jawie . . .
Ja cię tak mało znam.

IDZIE LATO

Idzie lato na skrzydłach słonecznych promieni.
Upalne, duszne w mieście, lecz na wsi przecudne.
I zaraz mam przeczucie, że się los odmieni,
Śnią mi się każdej nocy jakieś sny ułudne.
Z ciężkim trudem się budzę. Podnoszę powieki —
Razi mnie blask słoneczny, pierś ma ledwie dyszy.
Skronie łakną ochłody wśród przedwczesnej spieki;
Znużony gwarem miejskim umysł pragnie ciszy.
I ciągnie mnie tęsknota hen, za miejskie mury,
Jak najdalej od tłumu, gdzie leśne balsamy
W świerkowym pachną borze. Na łonie natury
Chcę spocząć, chcę przekroczyć tajemnicze bramy
Przepastnych puszcz i kniei północnej krainy,
Zbadać ich tajemnice, żyć ich własnem życiem,
Wgłębić się do samego środka ich gęstwiny
I cieszyć się tem zdala od ludzi ukryciem.
Swoboda mnie tam ciągnie, zieleń, błękit nieba
I jezior niezgłębionych kryształowe tonie.
Niestety ciągle w mieście pracować mi trzeba,
Choć się serce wyrywa, choć mi płoną skronie
I we śnie mi się marzą wakacji wywczasy . . .
Lecz gdy się zwolnię, kiedy wyrwę się nareszcie,
Za góry, hen daleko, za rzeki, za lasy,
Odbiegnę od trosk, znojów, od tego, co w mieście.
I odpocznę. — zaś kiedy powrócą mi siły,
Wrócę w miasto, trud pracy znów mi będzie miły.

Tylko Na Polskim Okręcie

Sen miałem, dobry, wzmacniający sen.
Stałem na brzegu. U stóp moich morze
Szumiało falą, a z daleka, hen,
Kędy wieczorne paliły się zorze,
Nadpływał okręt o żaglach z purpury . . .
Łabędzią piersią toń przed sobą pruł.
Boki mu myły wód morskich lazury,
Górą z kominów dym się biały snuł;
A za nim piany srebrno-białe smugi
Ukośnie biegnąc, zaznaczały szlak,
Którym tu płynął upornie czas długi,
Jak ten wędrowny, wciąż tęskniący ptak.
Czekałem cicho, bo serce szeptało,
Że do mnie płynie po bezbrzeżu fal,
Że mnie zabierze i za chwilę małą
W powrotną drogę popłyniemy w dal.
Na brzegu stałem . . . W przystani portowej
Potężnych statków różnych było sto.
Większych i w szacie okazalszej nowej,
Lecz mnie nie ciągnął żaden nazwą swą.
Wszystkie mi obce, obojętne były,
Od ich szeregów odwróciłem wzrok
I oczy moje z uporem się wpiły,
Aby nim nocy spadnie szary mrok,
Odczytać nazwę, nowego przybysza,
Z którym się sprzągnąć ma mój przyszły los.
Do brzegu przybił. Chwilę głucha cisza,
A potem nazwę odczytuję w głos,
Widząc ją w miejscu, gdzie koło sternika
W odblaskach zorzy szereg liter lśnił —
"Kościuszko" — Linja Gdynia-Ameryka.
Odgadłem zaraz, to mój okręt był.
I w owej chwili nawet za miljony
Inny mnie okręt już nie skusi, nie,
Kiedy w ojczyste mam odpłynąć strony,
Dokąd się serce z całej mocy rwie.

Pegaz Stalowoskrzydły

Kiedym był chłopcem nieśmiałym przed laty,
Pełnym fantazji i ciekawym świata,
Śnił mi się nieraz ów Pegaz skrzydlaty,
Którym pceta hen pod niebo wzlata,
Gdy go natchnienie w swe objęcia bierze.
Śnił mi się — rumak cudnie śnieżno biały,
Ognisty, szybki — i pragnąłem szczerze
Doczekać chwili, by ze mną w pęd rwały
Te jego skrzydła na wiatr rozpuszczone,
Czuć jak wiatr smaga rozpalone skronie,
Jak mnie gdzieś niesie tam w podniebną stronę,
Że chociaż z strachu serce mdleje w łonie,
To jednak w pędzie dziwną rozkosz czuje
I wciąż chce dalej pędzić bez przestanku,
Przyspieszać tempa i ciągle przed siebie
Pędzić dzień cały, noc, znów do poranku,
A nie zatrzymać się gdzieś aż tam w niebie,
Na łące z srebra, haftowanej złotem . . .
Marzyłem nieraz i sen płynął mile,
Wiele zmian przyszło w mojem życiu potem —
Przykrości różnych i zawodów tyle —
Lecz sen młodości, cudny, wymarzony,
Spełnił się — nawet przeszedł spodziewanie —
W rzeczywistości kształty obleczony
I dziś jest Pegaz na me zawołanie:
Posłuszny, wierny. Na palca skinienie
Na grzbiet swój cicho pana swego bierze,
I już rwie pędem w jedno oka mgnienie,
Chłonąc przed sobą przestrzeni rubieże.
Że inne miano dzisiaj mu nadali,
Nic to — przymioty zachował te same,
Tylko w daleko rozciąglejszej skali
I w odporniejszą zakuty jest ramę.
Jeśli ognistym był Pegaz skrzydlaty,
To mój dzisiejszy, wierny na skinienie,
W stalowe musi być odziany szaty,
Bo w piersi jego wprost huczą płomienie,
Ogniem się karmi, z ognia czerpie moce:
Mój Pegaz nosi samochodu miano.
Draźnię go iskrą — wnet cicho mamroce. —
Znak to, że taką moc w pierś mu zadano,
Jaka w tabunie setki dzikich koni.
Daję ostrogę naciśnięciem nogi —
Z miejsca się zrywa, z wichrem naprzód goni,
W każdej sekundzie więcej pożre drogi,
Niźli ów Pegaz w mitologji Greka.
Dajesz mu bodźca—gdzieś tam w tył ucieka
Pod tobą ziemia. Z boku słupy, drzewa,
W szalonym pędzie suną, jak strwożone
Duchy pustynne. Wiatr w mych uszach śpiewa
Jakieś tryumfu tony natężone;
A tam przedemną, widny jak na dłoni,
Cały świat Boży do stóp mi się kłania,
I, gdy powitać szybko ku mnie goni,
Ja ledwo spojrzę na te powitania,
Mijam obszary, wciąż dalej i dalej,
Pędząc, niesiony przez samochód-smoka,
Tam, kędy zorza wieczorna się pali,
Kędy wyniosła, kamienna opoka
W sinej mgle sto i ziemi stróżuje.
Tam, gdzie się w bajce świat kończy daleki,
Gdzie niebo z ziemią cicho się całuje
Na horyzoncie. — Mijam góry, rzeki
I pędzę . . . Auto na kształt niewolnika,
Choć go moc straszna mało nie rozsadzi,
Jak pies posłuszne rece kierownika,
Rece, co lekko, swobodnie prowadzi.
Niesie mnie Pegaz-auto w świat nieznany
I taką rozkosz wówczas serce czuje,
Że każdy człowiek staje się kochany,
Jaśniejsze, lepsze myśli umysł snuje,
Aż chciałbym cały świat porwać w ramiona
I zabrać z.. sobą tam, gdzie szczęście czeka,
Gdzie nas Fortuna wita wymarzona,
Ta, którą gonisz — a ona ucieka . . .
Pędzę i jakąś dziwną rozkosz czuję.
Pragnąłbym lecieć hen w przestrzeń bez końca,
Tam, gdzie swobodą dusza się raduje
W złotych promieniach wschodzącego słońca.

A KIEDY UJRZĘ JĄ

Chciałbym, lecz choć się dusza tęsknie rwie,
Ktoś inny wraca do rodzinnych stron.
Tęsknię i męczę się.
Czy mi tu zostać przyjdzie aż po skon?
Aż myśleć o tem strach.
Nie tu . . . Tu nie chcę w wieczny kłaść się sen.
Tu nie przytuli piach,
Tak cicho, miękko, jak tam w Polsce hen.
Ah, takbym wrócił tam,
Gdzie dom rodzinny mam.
I jużbym, jak ten dąb, w swą ziemię wrósł,
Nie dałbym wyrwać się.
Dzień w dzień bym Polsce uwielbienia niósł,
Aż po ostatnie dnie.
A gdy w ostatnim jużby mętniał wzrok,
Serce nie chciało bić —
Byłby dzień droższym niż tu cały rok . . .
Dziś tylko mogę śnić,
Dziś tylko marzyć, tęsknić wolno mi.
Lecz nie zerwana nić,
Co z krajem łączy, pamięć w sercu tkwi . . .
Lecz tu mi trzeba żyć,
Walczyć i cierpieć, znosić dolę swą —
Że kiedyś wrócę i znów ujrzę Ją.

Dziś Święto w Polsce

Chciałbym być w Polsce o dzisiejszej porze:
Widzieć, jak wieśniak pługiem ziemię orze,
Jak się równiutko skiby czarnoziemu
Kładą pod stopy chłopu orzącemu,
A on je skrapia potem swym obficie.
Chciałbym z nim razem w pole wyjść o świcie,
Zanim ozłocą świat promienie słonka.
Słyszeć nad głową pieśń ranną skowronka . . .
(Bo tam już w marcu ptak wiosnę zwiastuje)
Słyszeć i widzieć, czuć — jak chłop to czuje,
Że się natura już do życia budzi.
Chciałbym się znaleźć tam wśród naszych ludzi
I nic nie mówić, tylko słuchać w ciszy,
Jak polska ziemia miłowaniem dyszy
Do tego, który wywiódł ją z niewoli,
Jak się gotuje lud polski na roli
Na wielkie święto — uczcić NACZELNIKA!
Bo w dzień Józefa, Jego imiennika,
Podwójne święto w każdej polskiej chacie.
Chciałbym to widzieć, jak w odświętnej szacie
Idzie lud wiejski rano do kościoła
I kornie chyląc przed ołtarzem czoła,
Z głęboką wiarą przez Tron Przedwiecznego
Zasyła dzięki, że dał Piłsudskiego,
Wodza Narodu, Ojca, broniciela.

I Wielkanocna jedynie niedziela
Równie podniosłe wytwarza nastroje,
Jak dzień Józefa, gdy lud serce swoje
Naczelnikowi z miłością otwiera . . .
Idzie modlitwa podniosła i szczera,
Aby Pan Nieba, co wszystko przenika,
Zdrowiem i siłą darzył Naczelnika!

Tam lud się modli prostą, twardą mową,
A my tu zdala od ojczystej ziemi
Do modłów swoje dołączamy słowo.
I płynie z serca wyrazy szczeremi
Modlitwa wielka, jak wielkim Czyn Jego —
W ten dzień imienin Wodza Piłsudskiego.

Strumień w Lesie Dalekim

Zaniosłem wczoraj na strych krzesełko złamane.
Przypadkiem wzrok rzuciłem za komin na ścianę
I widzę — w kącie wędka ulubiona stoi.
Wziąłem w rękę, oglądam i w myślach się roi
O tym jednym strumieniu, co płynie hen w borze
Między świerki, jedliny, przy Houghton jeziorze,
Sławnym z pstrągów. Mil przeszło dwieście stąd jezioro.
Sezon już niedaleko, lecz jechać nie sporo.
Obowiązki trzymają — lecz tak ciągnie chętka . . .
Aż mnie w dłonie paliła towarzyszka-wędka.
Zakryłem powiekami przemęczone oczy —
W myślach obraz się rodzi. Z początku się mroczy,
Jakby mgłą zasłonięty, lecz wnet kształty zmienia
I widzę się stojącym na brzegu strumienia . . .
Nademną wierzba schyla gałęzi warkocze,
Już z lekka ulistnione, a dołem bełkocze
Prąd wodny po kamieniach, czysty jak łza oka.
Na prądzie woda płytka, lecz dalej głęboka
I tam płynie leniwie, spokojna a cicha.
W takich miejscach najczęściej pstrąg drapieżny czyha,
Ostrożny, chytry, silny, walczący do końca,
Gdy z strumienia go ciągnie wyprężona, drżąca
Linka wędki, twą ręką wprawną kierowana.
Stoisz w wodzie lodowo zimnej po kolana,
A żar czujesz kipiący w żyłach swego ciała
I gdyby ci się ryba przypadkiem zerwała,
Całą siłą wstrzymywać musiałbyś swe kroki,
By wpław za nią nie rzucić się w ten wir głęboki.
Pstrągi łowisz. Las pachnie żywicą sosnową,
Po brzegach się zieleni pysznie trawą nową,
Łozy w pąkach nabrzmiałe, wonne a srebrzyste
Powietrze nasycone ozonem, tak czyste,
Że gdy wchłaniasz je w piersi, jakbyś pił nektary.
Zdaleko gra poszumem do ciebie bór szary,
Gromada drzew przeróżnych, witających wiosnę . . .

* * *

Widzę ten obraz w myśli i w nadziejach rosnę.
Maj blisko, las mnie woła — pójdę z przyjacioły
Nad ten strumień daleki i wolny, wesoły,
Choć dzień jeden ucieszę się zapachem lasu,
Zdaleka od miejskiego dymu i hałasu.

NA FALACH BAŁTYKU

Jak mewa białoskrzydła, miotana wichurą,
Płynie łódź moja z falą. Burza huczy górą —
Dołem Bałtyk spieniony wzdyma swoje łono,
Chcąc wchłonąć łódź wraz ze mną. I rozkosz szaloną
Czuję w tym pędzie burzy, co mi szarpie żagle.
Urągam wichrom burzy, łódź do pędu naglę,
Chciałbym całe to morze, jak długiem, szerokiem
Jest ono w swym ogromie, zmierzyć swojem okiem,
A potem dziobem łodzi przeorać w wsze strony . . .
Broni swoich tajemnic Bałtyk oburzony,
Zagradza drogę wałem zbałwanionej wody.
Nie zważam — wszak to rozkosz zwalczać te przeszkody,
Rwać naprzód równo z wichrem i naprzekór burzy,
Chcę aby walka taka trwała jak najdłużej,
By przebiec jak najwięcej przestrzeni Bałtyka.
Jest we mnie coś z uporu tego buntownika,
Który tem srożej walczy, im go bardziej gniotą,
A kiedy go głaskają, męczy się tęsknotą
Do walki, do sprzeciwu — do tryumfowania . . .
Spienione fale wicher po Bałtyku gania,
Co chwila liże pokład jęzor słonej fali —
Ja żagli wciąż dodaję i wciąż płynę dalej.

WIGILJA W POLSCE

Kładzie się na świat Cicha Noc, pokojem tchnąca,
Strojna w niebios fjolety, gwiazdami błyszcząca,
Misterjów świętych pełna, w złotej aureoli,
I niesie w serca radość ludziom dobrej woli —
Święta Noc Wigilijna! — Jak harfa eolska
Rozbrzmiewa pieśnią kolęd cała ziemia polska,
Radosna, że w Wolności. I splotły się dłonie
W bratni uścisk, gdy Gwiazda Betlejemska płonie
W Noc Cichą, zgoda, miłość łączy wszystkie stany
Choinka, stół obrusem bieluchnym zasłany,
Pachnące siano pod nim, a z ręki do ręki
Opłatek krąży w koło. — Płyną kolęd dźwięki,
Tam gdzie pałac bogacza, gdzie wieśniacza strzecha,
Śpiewają zgodnym chórem, aż tej pieśni echa
Dolatują tu do nas i budzą wspomnienia
Z lat dawnych . . . Wysuwają się z nocnego cienia
Te pola wsi rodzinnej w śniegu białej szacie,
Ojciec stary i matka w strzechą krytej chacie,
Ta droga, która ze wsi wiedzie do kościoła
Na Pasterkę i dziwna tęsknota cię wcła,
By bieżyć tam do swoich — w noc Wigilji świętą! . . .
Kolęda polska płynie. Siłą niepojętą
Niesie nam hen z za morza od braci życzenia —
Wesołych Świąt, w Bożego dniu tym Narodzenia!

KĘDY WIERZBY PŁACZĄCE

Między wierzby płaczące, które gromadami
Obsiadły stary cmentarz, pomiędzy grobami,
Włóczyłem się w niedzielę. Był to dzień ponury.
Po niebie wędrowały szaro-bure chmury,
Co chwila świat skrapiając łzami smutku — deszczem.
W gałęziach drzew wiatr tłukł się z gwizdaniem złowieszczem
Jak dusze potępieńców. Skierowałem kroki
W to miejsce, gdzie świerk stoi strzeliście wysoki,
A obok biała brzoza, zlekka pochylona,
Nad świeżym grobem wiotkie wyciąga ramiona.
Znam to miejsce — tak ciche i nieuczęszczane —
Każdy krzak, każde drzewo tam mi dobrze znane,
Nawet nie są mi obce te biedne mogiły,
Co jak owiec strwożonych stado się skupiły
I bielą się zdaleka . . . Znów jedna przybyła,
Ta właśnie, którą brzoza cieniem swym okryła.
Znaczy się żółtą plamą piachu wśród murawy.
Nie znałem jej i wzrok swój kieruję ciekawy:
Dzieci klęczą przed garbem usypanej ziemi;
Dziewczynka wraz z chłopczykiem. Rączkami małemi
Dziewczątko wiązkę kwiatów w piach rozmokły wtyka,
A potem cichym głosem szepce do chłopczyka —
"To dla mamy, tak bardzo lubiła te kwiatki . . .
Zmów za mamę paciorek, bo dziś Święto Matki" . . .
Chłopczyna główkę schylił, aż dotknęła ziemi,
Mogiłę matki objął rączkami swojemi,
A potem się rozpłakał. Płaczem przerywane
Brzmiały słowa pacierza najpierwej nam znane —
I poszła skarga dziecka hen przed nieba bramę —
"Ojcze nasz, któryś w niebie . . . czemuś zabrał mamę? . . .

Nieokreślonych Pragnień Rzeka

Usiadłem w auto — po jezdni z betonu
Pędziłem z wichrem w stronę nieboskłonu,
Tam, kędy ziemia z niebem się całuje.
Pęd dziwne sceny w oczach wywołuje —
Rytmicznie warczy motor rozpędzony,
A znów po bokach drogi obie strony
Zdają się trwożnie przed tobą uciekać,
Pędzisz wciąż naprzód. Nie chce ci się czekać,
Choć dookoła, jak długi, szeroki,
Kraj przecudowne nastręcza widoki.
Pęd cię upaja, spieszysz się — do czego?
Nie wiesz — do szczęścia, czyli też do złego,
Do nocy czarnej, czy może do słońca?
Nie pomny wcale, że — bliżej do końca,
Do kresu życia . . . Pozamiejska droga.
Pędzi twój rumak, jakby go ostroga
Wspierała w żebra — twój rumak ze stali,
A ty chcesz pędzić, pędzić coraz dalej,
Podwoić biegu szybkość rozkiełznaną,
Dopaść w tę stronę całkiem ci nieznaną,
Spojrzeć i dalej gonić bez wytchnienia.
Coraz to nowy krajobraz się zmienia,
Jeden nad drugi z kolei piękniejszy,
Lecz prędzej motor wytrwałość swą zmniejszy,
Niźli wyczerpie się w piersi człowieka
Nieokreślonych pragnień rwąca rzeka.

Wspomnienie o Koledze

Idę w dal hen, a cel mój tak jeszcze daleki . . .
Kładą mi się przeszkodą w drodze wielkie rzeki,
Strome zbocza, skał pełne, co ranią mi nogi
Zmęczone, obolałe . . . Nie stanę w pół drogi,
Bo trzeba dojść, gdzie w sinej mgle cel mój się bieli —
Choćby przyszło ostatni dech oddać z gardzieli,
W chwilę, gdy się dowlokę . . . Droga tak się dłuży . . .
Jeszcze tylko tę górę przejść i las ten duży,
A potem puste pole przecięte potokiem.
Słońce praży jak ogniem. Idę wolnym krokiem . . .
Już góra się skończyła . . . Las użycza cienia,
Lecz odpocząć nie wolno . . . Idę bez wytchnienia,
Choć szarpią nędzne ciało twarde pniaków sęki,
A ciernie się wbijają wśród straszliwej męki
W stopy, z których ostatni spada strzęp trzewika.
Potykam się, upadam, ból kości przenika,
Lecz dźwigam się, jęk tłumiąc — bo mi dojść kazano . . .
Wódz dał rozkaz, gdym z warty zeszedł dzisiaj rano
Po nocy nieprzespanej . . . Bolą stopy bose . . .
Lecz dojść muszę—papiery ważne z sobą niosę . . .
Las już za mną i pole . . . Dojdę, sił mi starczy.
Tylko czemu tak w krtani oddech dziwnie warczy?
Czy już koniec? . . . Gdy rano byłem odznaczony
Rozkazem Naczelnika, służbiście sprężony
Spóźniłem się z raportem przy kwatery bramie,
Że przed chwilą wróg kulą przestrzelił mi ramię . . .
Wódz tak mi ufał zawsze . . . Tego zaufania
Nie wolno zawieść nigdy, choćby do skonania . . .
Ruszyłem — krew tam za mną uperliła drogę.
Doszedłem . . . Doręczyłem . . . Teraz spocząć mogę
I czuję, że spoczynek będzie długi, długi,
Nie przerwą go te ziemię w skiby rżnące pługi,
Co nademną się toczyć będą po tej roli.
Spełniłem obowiązek . . . Już mnie nic nie boli . . .

ŻYWICIELKA

Burza przyszła, deszcz pada, a ziemia spragniona
Chciwemi usty pije życiodajne strugi,
Wchłania je i wypełnia wnętrze swego łona.
Czekała na tę ucztę stęskniona czas długi,
Więc teraz wynagrodzić chce męki pragnienia.
Opija się tym deszczem i zaraz młodnieje —
Jej łono, przepełnione pragnieniem rodzenia,
Nabrzmiewa, zmienia wygląd i coraz pęcznieje:
Z wilgotnej ziemi kwiatek główkę swą wychyla,
Tysiące ich powstaje przy piersi matczynej,
A ona coraz nowe rodzi pokolenia,
W tem rozkosz swą znajdując, w miłości jedynej
Do życia, chcąc tak rodzić ciągle, bez wytchnienia,
Wypełnić swemi dziećmi cały świat dokoła.
Deszcz pije, aby potem kąpać się wśród słońca,
Uśmiechając się niebu, piękna i wesoła.
I chciałaby tak czynić bez przerwy, bez końca . . .
Deszcz pada, poi ziemię, ona upojona,
Darzyć chce wszystko życiem, a niepomna na to,
Że kiedy potem zima weźmie ją w ramiona,
Za nadmiar życia — cicha śmierć będzie zapłatą.

KOSODRZEWINA

Posadziłem w ogrodzie krzak kosodrzewiny.
Przypadkiem ją ujrzałem tu u ogrodnika.
Przypomina mi teraz hale, połoniny,
Tatry nasze, szczyt których wprost nieba dotyka,
Te skaliste upłazy, wiszary i granie,
Tak górne i tak strome, że tam inne drzewa
Nie odważą się rosnąć . . . Na skalistej ścianie,
Kędy wicher, taranem waląc, z nóg cię zwiewa,
Ona jedna się trzyma i urąga burzy.
Przytulona do głazów, w węzły pokręcona,
Wciąż walczy — i zwycięża, bo ciągle zielona,
Rozrasta się i góry bierze w swe władanie—
Nasza polska, z tatrzańskich gór kosodrzewina . . .
Gdym to drzewko na targu ujrzał na sprzedanie,
Kupiłem ją natychmiast. Dziś mi przypomina
Giewont, Krywań, Łomnicę, mniejszych wirchów rzeszę,
A kiedy na nią patrzę, taka mi kochana,
Tak się kosodrzewiną w ogrodzie mym cieszę,
Że już niebieska jodła całkiem zapomniana,
Srebrny świerk z Colorado, choć dziesięciokrotnie
Droższy od niej, nie ściąga nawet i spojrzenia.
A ona — na trawniku wygląda samotnie —
Znać, że tęskni biedaczka do tego kamienia,
Co ją karmił tam w górach. Zbiera mnie ochota
W góry wracać, gdzie ciągnie ją i mnie tęsknota.

PROSIMY NA MAZURKI

Spędziłem tę Wielkanoc w przyjaciół swych gronie
I odżyły wspomnienia z lat dawnych w mem łonie,
Tak miło, tak serdecznie upływały chwile . . .
Mój Boże, na obczyźnie lat spłynęło tyle
I wspomnień innych, obcych tyle uleciało,
A jednak chwil młodości się nie zapomniało—
Wciąż trwają w głębi serca — ono wciąż pamięta . . .
Tak samo matka moja Wielkanocne święta
Obchodziła co roku. — Zastawione stoły . . .
W te święta nastrój zawsze musiał być wesoły,
Tak samo przestrzegała zasad gościnności,
Tak samo przyjmowała pełna serdeczności:
"Gość w dom, Bóg w dom" — mówiąc — jak wczoraj mówili
Gospodarze, gdy w dom swój gości prowadzili
I sadzali za stołem, na którym święcone
Przypomniało nam Polskę. Kiełbasy wędzone,
Szynki, mięsiw przeróżnych wykwintne pieczenie,
Szerzyły woń przedziwną, drażniąc podniebienie,
A obok tort przybrany w cytrynowe skórki,
Misternie wysmażane, wreszcie te mazurki,
Jakby żywcem tam z Polski czarem przeniesione,
Musiały ci przypomnieć chwile przeminione
Z lat dawnych. Lecz najbardziej Polskę przypomniały
Ich serca, co szczerością w dom swój zapraszały,
Ciesząc się tem najbardziej, że nas ucieszyli,
Gdy nam Polską Wielkanoc tutaj wyprawili.

Najmocniej Bije Jednak Polski, Zygmuntowy

Hej, przychodzi wspomnieniem czas dawno miniony . . .
Na Rezurekcję biją rozedrgane dzwony,
Palą się na zachodzie karminowe zorze,
A wokoło kościoła tłum ludzi na dworze,
Bajecznie kolorowy, poważnie skupiony,
W procesji idzie świętej — przodem feretrony,
Ksiądz z monstrancją i w kapie, baldachimem kryty,
Świeci się w blaskach zorzy ornat złotolity,
Proporce srebrem tkane nad tłumem się chwieją,
A dołem sukman chłopskich gromady bieleją,
Przeplatane czerwienią niewieściej odzieży.
Dalej tyle się różnych barw jaskrawych szerzy,
Że gdybyś chciał je nazwać, braknie ci słownika . . .
Tłum śpiewa pieśń tryumfu, co serce przenika,
Górą bije dźwięk dzwonów hymnem Zmartwychwstania.
Ze wszystkich pieśni ludu ten sposób śpiewania
Jedynie trafiał w serce, co się buntowało.
Choć się modlić nie mogło, z wiarą się śpiewało,
Że przyjdzie kiedyś inne, polskie Zmartwychwstanie,
Że zapowie je wprzódzi trąb wojennych granie.
Zamiast dzwonów grzmot armat zatrzęsie nerwami,
Załopocą chorągwie nad ludu głowami,
Wypełni się ofiara krwawa, ciężko krwawa,
A kiedy ostateczna już przyjdzie rozprawa,
Wywalczy Polsce Wolność Wódz nasz uwielbiony.
Spełniły się nadzieje . . . Biją dzisiaj dzwony,
Na Rezurekcję biją, silnie dźwięk się niesie,
Na skrzydłach wiatrów lecąc po świata bezkresie
I mocno trafia w serca ten ich ton spiżowy,
Najmocniej bije jednak — polski, Zygmuntowy.

Kwitną Tulipany

Byle wciąż razem, moje ty kochanie,
Pod jednym dachem, dla wspólnego celu,
To choć grom huczy—nic się nam nie stanie—
Przetrwamy burze, żyć będziem w weselu
I życie nam się tak cudnie ułoży
Jak ten poranek słoneczny, majowy,
Kiedy dzień wstaje wśród różowej zorzy,
Witany w Polsce przez śpiew skowronkowy.

Nie mamy skarbów, obce nam klejnoty,
Lecz dla nas kwitną teraz tulipany
I dla nas sieje słonko promień złoty,
Zielenią dla nas stroją się dziś łany.

Jabłoń różowem kwieciem nam się śmieje,
Wiśnia się dla nas w biały welon stroi
I dla nas wietrzyk nad wieczorem wieje,
Bzów rozkwitnionych aromatem poi.

Byle wciąż razem—kiedy serce płonie
Miłością czystą—to i szczęście z nami.
Niechaj się łączą w wspólny uścisk dłonie
I usta niechaj łączą się z ustami.
Pod jednym dachem—ty, ja, córka nasza,
Ten jasnowłosy dzieciak ukochany —
Idziemy w szczęście, nic nas nie przestrasza.
W ogrodzie dla nas kwitną tulipany.

Gdy Się Nudzisz Mój Bracie

Kiedy masz mało czasu a więcej pieniędzy,
I chciałbyś się uwolnić od tej wstrętnej jędzy,
Której nuda na imię — siądź do brydża bracie.
Pewnie jeszcze w pokera albo w oczko gracie,
A to wstyd. Brydż jest teraz najpowszechniej w modzie.
Ile to spraw przeróżnych stało się w narodzie
Dzięki temu, że brydż tu został wprowadzony.
Za pomyłki przy brydżu mężów tłuką żony
I naodwrót mężowie żonom dają lanie
Za zbyt częste za domem swoim w brydża granie.
Tylko jeśli przy brydżu w ręce bierzesz karty,
Wiedz, że nie sam tylko jesteś i że to nie żarty.
Trzech innych oprócz ciebie siada do stolika
I wiele komplikacyj nieraz stąd wynika,
Naprzykład partner asem wychodzi treflowym
I lewę ma niewziętą, a ty go kierowym
Waletem atutowym z tryumfem katrupisz.
Oj, wówczas z awantury już się nie wykupisz,
Tyle na łeb ci zwali partner wymyślania,
Że nieraz przez rok cały odechce się grania
I wstyd ludziom się przyznać. Bo miej to na względzie,
Że brydżowych dziś reguł nie znać w pierwszym rzędzie,
Większa hańba, niż nie znać wcale geografji.
Kto dziś w brydża naprawdę zagrać nie potrafi,
Ten nieuk, barbarzyńca, człowiek bez kultury,
A kto sztukę tę posiadł w następstwie tresury,
Już w wyższem towarzystwie obracać się może.
Więc graj w brydża, mój bracie, bo w dzisiejszej porze
Świat cały mu hołduje. Lecz pamiętaj o tem,
Że gra to nie tak łatwa i płaci się złotem.
Kto jednak gra wytrwale i rzadko się złości,
Ten dojdzie w grze brydżowej do doskonałości
I wreszcie, gdy upłynie jedno, drugie lato,
Mieć będzie więcej czasu — mniej pieniędzy za to.

CZERWONE MAKI

Czerwono-krwawe kwitną u mnie maki;
Sypią się z kwiatów płatki ich czerwieni
I przed oczyma wstają mi majaki —
Śnią się obrazy wśród barwnych promieni
O naszych polach posrebrzanych żytem,
O polskich łanach złoconych pszenicą,
Rannym wietrzykiem muskanych przed świtem.
Chciałbym iść ścieżką pomiędzy polami
I rwać te maki skąpane wśród rosy,
Układać w bukiet własnemi rękami.
Takbym ostrożnie poodchylał kłosy,
By ani jedno źdźbło nie złamać w rwaniu.
Chciałbym . . . Nie prędko spełnią się pragnienia,
Tu człowiek żyje jakby na wygnaniu,
Tu mają serca twardsze od kamienia,
A zamiast maków krew żywa wykwita.
Darmo byś szukał maków pośród zboża,
Niema uroku łan takiego żyta,
Jak ten nasz swojski, kwiecisty, z za morza.
Tylko w ogrodzie kwitną maki u mnie.
Nad inne kwiaty wznoszą główki dumnie,
Jakby wiedziały, że nad inne kwiaty
Kocham je, polskich niw cudne szkarłaty.

Gdy Nadejdzie Wielki Tydzień

Wielki tydzień... Pamiętam jak to dawniej było,
Naukę w tym okresie właśnie się kończyło,
A wkoło pachło wiosną. Nieraz rozmarzony
Wędrowałem po lasach hen w dalekie strony,
Brzegiem Sanu, przez łąki zarosłe wikliną,
Przez parowy zasnute napoły mgłą siną.
Po zboczach gór spadzistych, pnąc się aż na szczyty,
By spojrzeć tak z wysoka w przeczyste błękity,
Odetchnąć pełną piersią — i wędrować dalej —
W tę stronę, kędy słońce wieczorem się pali.
Zachód zawsze mnie wabił swą magiczną siłą.
Nie wiem czemu, lecz tak mi zawsze tęskno było,
Gdy Wielki Tydzień nastał i rzesza skrzydlata
Wracała wczesną wiosną gdzieś od krańców świata,
Radośnie kraj rodzinny witając w powrocie.
One szczęsne wracały — jam marzył w tęsknocie,
By odejść gdzieś daleko, hen, w nieznane strony,
Wrażeń szukać niezwykłych. Umysł wytężony,
Gdy w jednym wciąż kierunku stale się wysila,
Postawi wnet na swojem. I nadeszła chwila,
Że ta żyłka cygańska z kraju mnie wygnała...
Płyną lata. Ćwierć wieku już przeszło bez mała
I jeszcze nie wyzbyłem się wędrownej chęci...
Tylko teraz mnie wschodnia strona znowu nęci.
Gdy przyjdzie Wielki Tydzień, ciągle myślę o tem,
By wędrować nad Sanu rozłogi z powrotem
I przybyć tam z ptakami w marcowe przedwiośnie,
Jak one witać ziemię ojczystą radośnie,
Odszukać własne gniazdo, szczęściem się radować,
Ujrzeć znowu te góry — i już nie wędrować.

NA DZIEŃ DOBRY

Dzień Dobry! Wszystkim! Szczęść wam, Szczęść Wam Boże!
Choć tam dla mnie dzień dzisiaj dobrym być nie może,
Bo ledwie słonka z za chmur błysnął promyk złoty,
Oplotły myśl zalękłą zmartwienia, kłopoty,
Codzienne towarzyszki od pewnego czasu.
Ha, trudno. Dla jednego suknia jest z atłasu,
Drugiemu zgrzebne płótno losem jest pisane.
Więc chociaż z snu ciężkiego ranną porą wstanę,
Pogodnie w przyszłość patrzę mimo zmartwień kroci...
Brzeg chmury najczarniejszej jeszcze promień złoci
I mówi mową słońca, że za chmur pokryciem
Świat piękny wciąż istnieje i śmieje się życiem.
Dlatego, choć mi kłopot dziś zwiastują zorze,
Wam wszystkim dnia dobrego życzę. Szczęść wam Boże.

PŁACZĄCA WIERZBA

Mam w ogrodzie płaczącą wierzbę, jeszcze młodą.
Darzy mnie swoim cieniem, orzeźwia ochłodą,
A kiedy lekki wietrzyk wieczorny ją pieści,
Szemrzą wiotkie gałązki wierzby dziwne wieści —
Zwykle smutne — o matkach, co płaczą po synach
Umarłych, czekających w praczasu głębinach
Na tę chwilę, gdy znowu połączą się z matką.
Otoczyła pień własny jak srebrzystą siatką
Gałązkami wierzbina. Gdy wiatr listki trąca,
Idą szepty jak gdyby modlitwa gorąca
Za spokój dusz tych, którzy nam wszystkiem
....na ziemi.
Czasami wierzba chwyta gałązkami swemi
Ciche łkanie sieroty, co się gdzieś tam skarży,
Że już więcej jej matka pieszczotą nie darzy,
A jasne łzy, co płyną po buzi dzieciny,
Podobne do tej rosy na liściach wierzbiny,
Gdy stoi nieruchoma o porannym chłodzie
Cichutka, drżąca — smutna taka w mym ogrodzie.

DROŻSZA MI NAD KWIATY

*Hjacenty kwitną u mnie i wzrok się zachwyca
Czystością barw kwiatowych. Jakby kadzielnica
Najprzedniejszej świątyni, tak ogród wonieje,
Kiedy wietrzyk leciuchny od południa wieje
I roznosi aromat od grządki kwiatowej.
Najwięcej mam hjacentów o barwie różowej,
Z brzegu tylko są białe, lecz tak czystej bieli,
Że napewno jaśniejszych nie mają anieli,
Kiedy skrzydła roztoczą, gdy strzegą sieroty.
W środku jeden jest tylko, wielki, żółto-złoty,
Jak to słońce, co rankiem wyglądnie z za chmury
I toczy się wspaniale na nieba lazury,
Rozpędzając białawych obłoków gromady.
Są i takie, co mają niebieskawo-blady
Kolor, jaki ma niebo wiosenne po burzy.
Hjacenty kwitną u mnie. Ogród, choć nie duży,
Tyle barw, tyle woni roztacza przedemną,
Że opisać je wszystkie jest rzeczą daremną.*

*Onegdaj, w dzień słoneczny i niedzielne święto,
Chodziłem po ogrodzie z twarzą uśmiechniętą,
Myśląc, że piękniejszego niema nic nad kwiaty.
Wtem na trawnik, pomiędzy kwiatowe rabaty,
Wbiegło dziecko, dziewczynka odświętnie ubrana,
W różowej sukieneczce córuś ma kochana.
To matka na niedzielę tak ją wystroiła.
Stanęła przy hjacentach, usta rozchyliła,
I krzyknęła w zachwycie — "Moje wy kwiateczki!"
A potem, by nie pomiąć nowej sukieneczki,
Uniosła ją leciuchno, klękła na murawie
I rączki opierając na puszystej trawie,
Przytuliła twarzyczkę do kwiatów wiośnianych,
Wchłaniając ich aromat. Z ocząt roześmianych
Widać było, że kocha tak jak ojciec kwiaty.
Wyglądała nad klombem jak motyl skrzydlaty
I ujrzałem, że ona od kwiatów piękniejsza,
Droższa dla mnie, ta córa moja najmilejsza.*

PODNIOSŁEM JĄ

*Podniosłem ją starganą. Leżała pomięta,
Zbrudzona. Przez rąk tyle przeszła, rąk co brudzą.
Lecz dla mnie zawsze piękna, dla mnie zawsze święta.
Podniosłem ją. — Nie moją była, obcą, cudzą,
A jednak bliską serca pomimo splamienia.
Wiem dobrze, że ktoś inny obdarł ją z czystości,
Ktoś inny jej dziewicze otrzymał spojrzenia —
Ja nawet to przyznaję bez żadnej przykrości,
Że potem ot — z rąk do rąk szła w obłędnym szale,
W każdym krew burząc młodą i buntując ducha,
Całą siebie oddając, nie kryjąc się wcale,
Każdemu, kto jej szeptom chciał przyłożyć ucha,
Bogatym i porówni biednym. Wiem ja o tem,
A jednak nie potępiam, owszem, błogosławię,
Więc chociaż dziś zdeptaną, obrzuconą błotem,
Podnoszę ją, w szeregu najczystszych postawię
I wielbić wciąż ją będę jak gwiazdę przewodnią,
W niej czerpać me natchnienie, krzepić ideały,
Bo czyż można to nazwać obrazą lub zbrodnią,
Że ją setki rąk innych przedtem przerzucały,
Że z jej łona cudnego inni rozkosz pili,
Kiedy ona, choć wszystkim czystość swą oddała,
Została czystą w duchu do ostatniej chwili
I szczytne posłannictwo pośród nas spełniała —
Ona — ta dobra KSIĄŻKA, co serce zachwyca,
Ona, krynica prawdy, ducha powiernica.*

JESIENNE LIŚCIE

Jesienne liście. Ile w nich uroku
I ile smutku. Liść to jak łza w oku,
Co chwilę tylko przepysznie zaświeci,
A potem ginie i ku ziemi leci,
Pada na ziemię i z ziemią się brata . . .
I tyle liści z drzew jesiennych zlata,
Ile łez spływa z smutnych ludzkich oczu.
. . . .
Niedawno szedłem po łagodnem zboczu
Brzegów strumienia, patrząc na świat Boży.
Z godzinę miałem do wieczornych zorzy,
Więc skośnie słało słońce swe promienie,
W purpurę strojąc nadbrzeżne kamienie,
Stopionem srebrem zdobiąc fale rzeki,
I we fioletach kryjąc świat daleki.
Cały brzeg rzeki kąpał się w promieniach.
O kilka kroków stał las, cały w cieniach,
A w lesie drzewa. Słońce cuda stwarza,
Jak na palecie artysty malarza,
Tyle kolorów siejąc w swym zachodzie —
Łamią się barwy w powietrzu i w wodzie,
Cały brzeg tonie w pysznych barw kaskadzie—
Słońce promienie swe ukośnie kładzie.
Las stoi w cieniu. Ani promyk słońca
Lasu nie muska. Zda się nie mieć końca
Zbita gromada drzew, krzaków i liści.
Lecz choć nie złoci słońce drzewnych kiści,
Choć nie użycza tęczowej poświaty —
Las w niemniej cudne ustroił się szaty.
Jesienna pora. A w jesiennej porze
Niczem promienie i wieczorne zorze
Wobec bogactwa, w jakie las się stroi . . .
Więc tam, gdzie gęstwa starych klonów stoi,
Zda się, że płonie cały las purpurą,
A złota chmura unosi się górą.
Po bokach znowu lipa swe konary
Roztacza dumnie i trudne do wiary
Ile kolorów odrazu uwięzi
Na jednem drzewie pośród swych gałęzi.
Sosna wciąż jeszcze ciemno szmaragdowa,
A dąb, choć częścią zieleń swą zachowa,
Na górze liście przybrał już bronzowe,
Jakby futrzaną czapę wdział na głowę.
Inne zaś drzewa nie liczą się wcale
Z doborem barwy i jak w dzikim szale
Wszystkie mieszają kolory na swiecie —
W liściach jesiennych wszystkie je znajdziecie.
Jakby paleta artysty malarza
Las dziś wygląda. Jesień cuda stwarza.
. . . .
Jesienne liście. Ileż w nich uroku
I ile smutku. Liść to jak łza w oku,
Co chwilę tylko przepysznie zaświeci,
A potem ginie i ku ziemi leci,
Pada na ziemię i z ziemią się brata.
I tyle liści z drzew jesiennych zlata,
Ile łez spływa z smutnych ludzkich oczu.

LATO UCIEKA

Jak ta spieniona wód górskich rzeka,
Lato ucieka.
Dzień każdy falą, pełną hałasu,
Co wartko płynie w tej rzece czasu
W wielki ocean wód zapomnienia.
Ile minęło lat . . .
Kończy się lato, w jesień się zmienia
I coraz skąpiej słońca promienia.
Czy się postarzał świat?

Czy może tylko, gdy czas ucieka,
Starcze się rodzą myśli człowieka,
W nieznaną lecą dal.
I widząc teraz jesień przed sobą,
Serce nam karmią smutkiem, żałobą,
Serdeczny niecąc żal?

Lato ucieka. Słoneczne chwile
Mijają — w życiu przeszło ich tyle.
Króciutko szczęście trwa.
Ktoś płakać musi, by w owej chwili
Inni się całem sercem cieszyli —
Tym uśmiech, innym łza.
Lecz poco płakać? Gdy lato kona,
Jesień nas cudna bierze w ramiona—
Powabów krocie ma.

Jak ta dojrzała, piękna kobieta
Ku sobie wabi nas.
Kochasz, to nowa czeka podnieta,
Nowe się szczęście pod stopy ściele,
Korzystaj, w życiu tak go niewiele.
Cóż, że upływa czas?
Nie płacz, że lato cudne ucieka,
Bo w jego miejsce jesień nas czeka,
Brzemienna pełnią kras.

Lecą Orły

Hej! wyrwały się orły na podniebny lot
I zuchwałemi skrzydły wbiły się w błękity,
Z poszumem lecą piór!
Nie straszny im i piorun co wypada z chmur,
Ich nie dosięgnie Jowiszowy grot,
Muzyka im burz gromowładnych zgrzyty
A celem dal — ta niedosiężna dal.
Hen, pod stopami ryk spienionych fal
Zagniewanego ich zuchwalstwem morza.
Ponad głowami błękit firmamentu,
Przed nimi bezmiar wichrów i zamętu.
A jeszcze dalej rozjaśnia się zorza,
Wabiąc ku sobie, bo tam cel ich lotów...
Stalowe lecą orły z odgłosem warkotów,
Co się z serc ptaków stalowych wydziera —
Ptak każdy przestrzeń przed sobą pożera,
Wyściga wichry i urąga burzy.
Spodem ocean, przedtem taki duży,
Taki straszliwy, teraz tak się kurczy
Jak uderzony prętem grzbiet jaszczurczy
A orły lecą dalej — po Zwycięstwo —
Kieruje niemi odwaga i męstwo,
Niezłomna wola, mózg niepokonany, —
Lecą w zwycięstwie w dal aeroplany!

Posmutniało Słoneczko

Rozsiedli się na ziemi struchlałej połaci
Północnego mocarza srodzy delegaci —
Siwowłosy Szron, oraz Mróz, starszy brat jego.
Nadleciał ich powitać z kraju dalekiego
Wiatr zachodni, kłaniając im się posuwiście,
Strącając złym oddechem z drzew ostatnie liście
I ścieląc je siwemu Szronowi pod nogi.
Rozpoczęli narady, a taki był srogi
Każdy wyraz ich mowy, że ziemia pobladła
I zmartwiały w bezruchu wód wszystkich zwierciadła,
Pokrywając się taflą bezbarwnego lodu.
Skłoniły martwe główki kwiaty wśród ogrodu,
Zwarzone legły zioła i trawy pokotem,
Że choć je rankiem słonko zbudzić chciało potem,
Już więcej nie podniosły się witać kochaną
Gwiazdę Dzienną, jak zwykły czynić to co rano,
Nim przyszli wysłannicy z północy olbrzyma.
Posmutniało słoneczko — już nadchodzi zima.

O Szarym Mroku

Kiedy wieczorna przyjdzie chwila
I już usypia cicho dzień,
Z kątów pokoju się wychyla
Szary, tajemny, głuchy cień.

Siedzę w fotelu, a cień szary
Pełznie w mą stronę cicho tak,
Jak te upiorne senne mary,
Jak bezszelestny nocny ptak.

Oplótł mnie wkoło. Cienia sploty
Mgłą zasłoniły cały świat,
Aż z mroków onych, wśród tęsknoty,
Lecą wspomnienia z dawnych lat.

Najpierw wspominki takie łzawe,
Potem radosnych cała moc,
Aż gdzieś przepędzą tę czarniawę,
Którą ze sobą niesie noc.

I nieraz siedzę długie chwile,
Obrazy snując z cienia przędz.
Cała mi nocka przejdzie mile,
Wolna od cierpień, smutku, nędz.

Nierozłączeni

Bezmiar wód niezgłębionych Bałtyk w siebie wchłonął
I dyszy modrą piersią. Miłością zapłonął
Do tej ziemi słowiańskiej, która wciąż go poi
Słodyczą wód wiślanych. W snach swych o Niej roi,
Na jawie wciąż wpatrzony w brzegów Jej kontury
I rzuca Jej pod stopy bursztynowe sznury,
Najbardziej drogocenne z skarbca swego dary...
A ona, choćby nie dał nijakiej ofiary,
Też go kocha wytrwale i biada śmiałkowi,
Który chciałby odebrać Polskę Bałtykowi,
A Bałtyk polskiej ziemi — wszak nierozłączeni...
Na samą myśl rozłąki Bałtyk aż się pieni,
Wzdymając pierś swą groźnie i miotając falą,
Aż srebnoskrzydłe mewy ze strachu się żalą,
Prosząc słonka, by Bałtyk zaraz zapewniło,
Że choćby się z wrogami piekło sprzysiężyło,
Nie rozłączą związanych miłością z prawieka...
Złocisty pył promieni słonka w morze ścieka
I niesie ukojenie — Bałtyk już spokojny,
Śle w brzeg fale i znowu jak królewicz hojny
Rzuca do stóp kochanki co dnia, co godziny,
Obmyte łzami swemi przecudne bursztyny.
A ona — chcąc by słyszał świat długi, daleki,
Ślubuje Bałtykowi wierność swą po wieki.